TABU

STR. 4

STR. 12

Dziś dodatek specjalny

„GŁOS OCHOTNICZY"

„DZIEJE GRZECHU"

STR. 7

Str. 10

TEKSTY STAROINDYJSKIE

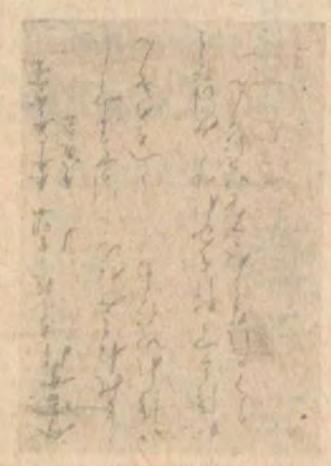

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 24 (914) 12 CZERWCA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Dokładnie 21 czerwca br. minie 30 lat od chwili, gdy ukazał się pierwszy numer „Głosu Robotniczego", nominalnie — organu miejskiej i wojewódzkiej instancji naszej partii, de facto — gazety każdego z nas. Już ponad ćwierć wieku, od wczesnych godzin porannych, codziennie towarzyszy w życiu nas wszystkich, wiążąc i zespalając nasze wysiłki w trudzie i radości tworzenia, w nadawaniu ostatecznych kształtów naszym marzeniom. Jest z nami organicznie związana, krąży w krwiobiegu miasta i pobudza go, stanowi jeden z elementów jego kulturalnego pejzażu, wyrosła i tkwi głęboko w glebie łódzkiej ziemi. Z okazji tej pięknej rocznicy oraz święta wszystkich czytelników „Głosu Robotniczego", z jego redaktorem naczelnym — Janem Pakułą, o sprawach tego pisma, jego historii, roli i zadaniach, rozmawia Lucjusz Włodkowski. Chcielibyśmy również skierować uwagę wiernych czytelników Dostojnego Jubilata na nasz „Magazyn" na stronie 12, gdzie znajdzie najświeższe wiadomości z „Głosu Robotniczego".

W dzisiejszym numerze rozpoczynamy nowy cykl Andrzeja Blajera na temat afery politycznej w USA, afery, która zbulwersowała opinię społeczną tego kraju. Ale nie tylko społeczeństwo amerykańskie wstrząśnięte i zaniepokojone jest sprawą Watergate, jak się ją potocznie nazywa. Fakt, iż prowadzenie tego rodzaju form walki, którą uprawiają najwyższy dostojnicy państwowi i prominenci życia społeczno-ekonomicznego St. Zjednoczonych, jest możliwe, nie może nie wzbudzić zaniepokojenia światowej opinii publicznej. Dlatego dobrze się stało, że będziemy mogli przyjrzeć się bliżej kulisom rozgrywek międzypartyjnych o fotel prezydencki.

Z naszego serwisu krajowego proponujemy zapoznanie się z wypowiedzią Prokuratora Generalnego PRL — Lucjana Czubińskiego, na temat prowadzonej przez państwo polityki prewencyjno-represyjnej, w dziedzinie kształtowania społecznych postaw ludzkich.

Ryszard Binkowski, w swoim reportażu „Zapach miasta", dzieli się wrażeniami z pobytu w jednym z najstarszych naszych grodów — Kaliszu, który stał się siedzibą władz, nowopowstałego województwa kaliskiego.

I na koniec, pod adresem władz uczelni akademickich naszego miasta, kierujemy uwagi i refleksje Marka Jamera, związane z odbywaniem obowiązkowych praktyk przez studentów, w zakładach pracy i instytucjach. Poruszony problem jest zbyt poważny, by móc godzić się z istniejącym stanem rzeczy. Wierzymi, iż znajdzie on szeroki rezonans nie tylko u odnośnych władz, ale zainteresuje również organizacje młodzieżowe i przedyskutowany zostanie, przed podjęciem wiążących decyzji, z samymi studentami.

OBYCZAJE

KONRAD FREJDLICH

DZIURAWIEC

Sprawa ta, jedna z najdziwniejszych, jakie znają sądowe repertoria, ponad pięć lat absorbowała wymiar sprawiedliwości w naszym kraju i kiedy wreszcie zapadły ostateczne rozstrzygnięcia, wszyscy, łącznie chyba z oskarżonymi, doznali uczucia ulgi, że oto wreszcie skończyła się niepewność. I jeśli nawet po wyroku nie rozwiały się wszystkie wątpliwości, jeśli stawiać sobie będziemy pytanie: jak to wszystko było możliwe? — to odpowiedź kryje się w niezgłębionych mrokach duszy ludzkiej, dla której definicji szukać powinniśmy raczej w twórczości Fiodora Dostojewskiego niż w przepisach ustawy karnej.

Jest wrzesień 1970 r. Dwaj mieszkańcy Aleksandrowa, którzy w niedzielny poranek wybrali się na grzyby do wsi *Adamów Stary*, nie przypuszczali chyba, że przyjdzie im dokonać odkrycia, jakie na zawsze zapada w pamięć i rodzi niedobre, gorzkie sny. Oto gdy wyszyli z lasu nad zarośnięty szuwarami staw dostrzegli pływające w wodzie trzy koce, które wyciągnęli na brzeg i zaczęli je wykręcać dziwiąc się własnemu szczęściu. Wtedy też zauważyli, że na powierzchni unosi się coś jeszcze, czego zrazu nie mogli rozpoznać. A kiedy poruszyli kijem oczom ich ukazało się wzdęte, martwe niemowlę. Nie dotykali go więc. Trzy, niedosuszone

Dalszy ciąg na str. 7

REPORTAŻ

RYSZARD BINKOWSKI

ZAPACH MIASTA

Zapada wieczór. Nad rzeką mgła, chłód, ostry zapach butwiejącej roślinności. Ten zapach pozostanie, choć brzegi Prosny w kajdanach betonowych, a zieleń Parku Ludowego przecięta wstęgami asfaltu. Ten zapach pozostanie. Rankiem i wieczorem. Łowcy bursztynu i jasnowłosych niewolników głosili sławę miasta błotnego, które ugrzęzło pośród bagien.

Zapada wieczór. Rzeka płonie w świetle gazowych latarni, barwnych lampionów, w blasku okien nadbrzeżnych domów. Na wąskim moście, wsparci o kamienne balustrady, kochankowie wdychają woń spalin, bo auta z trudem przedzierają się przez tę kamienną gardziel. Most z 1825 roku...

1.

W kinach „Oaza", „Syrena" („Kosmos" nieczynny) i „Stylowym" ludzie śmieją się z Louis de Funesa i samych swoich, na których nie ma mocnych. W Teatrze im. W. Bogusławskiego, to już piętnaste Spotkania Teatralne, „Cezar i Kleopatra" (Zielona Góra), „Makbet" (Poznań), Wajda ze „Sprawą Dantona".

A dalej inne światła, inne zapachy, mowa pieniądza i rżniętego szkła. Tam, pod hotelem „Środzkim" przy Środzkiej, pod „Polonią" przy Broniewskiego, w knajpach kat. II i w kawiarniach. Niebiesko od dymu, opary z kuchni, dym z łbów, jęczące saksofony,

I jeszcze inny zapach. Pot, kurz, kłaki bawełny, woń kwasów. Nocna zmiana. Kaliskie włókno, tak bliskie Łodzi. Nie przez tradycję i dawne sentymenty, ale poprzez tysiące współczesnych włókniarzy, którzy mają nawet własne branżowe pismo. Akurat ukazał się setny numer „Włókniarza" i był jubel, podobno tańczył sam szef, brodaty W. Muth.

Noc coraz głębsza. Miasto śpi, miasto się bawi i pracuje. Ciągnący szlakiem bursztynowym kupcy pogubili w drodze wiele „importów", które wyłażą teraz spod łopaty i mówią o przeszłości. Łowcy bursztynu i łowcy niewolników. Chyba tak. I kto wie, czy ci, co dziś zakochani na kamiennym moście, ci, co się bawią uczą i pracują, to nie potomkowie słowiańskich wojowników Atylli, wodza Hunów?...

Kiedy świt zaróżowi wodę w rzece, Kalisz spojrzy na swoje 1800 lat i na swój dzień powszedni...

Dalszy ciąg na str. 5

WATERGATE

UCIECZKA DO KALIFORNI

Watergate — tak nazywa się jedna z najekskluzywniejszych budowli Waszyngtonu. Położona przy Virginia Avenue, w bezpośredniej bliskości Departamentu Identyfikacji FBI, zawdzięcza swą renomę luksusowym apartamentom i wspaniale wyposażonym pomieszczeniom biurowym. Nic więc dziwnego, że w kampanii wyborczej 1972 roku przedstawiciele obu wielkich partii właśnie Watergate wybrali za swoją siedzibę. Całe jedno piętro z 26 pomieszczeniami było wykorzystywane przez Narodowy Komitet Partii Demokratycznej, jako centrum wyborcze. Stąd **George McGovern** prowadził później walkę o Biały Dom. A zatem nic również dziwnego, iż budynek ten, a szczególnie jego szóste piętro, znalazły się w centrum uwagi Republikanów.

Kilka pięter nad kwaterą główną Partii Demokratycznej w luksusowym apartamencie ulokował się wraz z żoną **John N. Mitchell**, do niedawna minister sprawiedliwości USA. Człowiek, który już w 1968 roku kierował walką wyborczą Republikanów. Wiosną 1972 roku złożył rezygnację z miejsca w gabinecie ministerialnym, aby stanąć na czele „Komitetu na Rzecz Reelekcji" Richarda Nixona na stanowisko prezydenta USA. Ale praca owego komitetu nie polegała, wbrew pozorom, li tylko na prowadzeniu i organizowaniu kampanii wyborczej. Wiadomym było już w 1968 roku, iż konkurenci Nixona z Partii Demokratycznej są silni, łatwo nie ustąpią i że jego ponowny wybór wcale nie jest pewny. Należało więc zawczasu podjąć odpowiednie kroki, aby uniknąć przykrej niespodzianki. Zadanie to spadło właśnie na komitet wyborczy. Powstał problem, jak je najskuteczniej wykonać. I oto ktoś wpadł na pomysł, aby roztoczyć ścisłą kontrolę nad konkurentami Nixona. Należało więc zebrać o każdym maksimum informacji, poznać wszystkie ich słabostki i tajemnice, śledzić ich kroki i posunięcia. Cel był wiadomy: w odpowiednim momencie wykorzystane — informacje te mogły przesądzić o zwycięstwie aktualnego prezydenta. Ale najpierw trzeba było je zdobyć, a droga do tego celu nie mogła być, ani łatwa, ani uczciwa. Tak doszło do afery „Watergate", będącej najgorszym skandalem politycznym w historii USA, afery, która w 1973 i 1974 roku dominowała w nagłówkach prasowych nad wszystkimi innymi wydarzeniami. W miarę tego, jak nabierała coraz szerszego zasięgu, dając wgląd w coraz to nowe dziedziny administracji Nixona, ujawniła wstrząsający brak poszanowania, zarówno ducha, jak i litery prawa ze strony najwyższych przedstawicieli rządu. Stworzyła ona w końcu wyzwanie nie tylko wobec zasady prymatu prawa, na której opiera się system

Dalszy ciąg na str. 10

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

NOWY NUMER „KALEJDOSKOPU"

Już od kilku dni znajduje się w sprzedaży kolejny numer „Kalejdoskopu". Jego czerwcowe wydanie przynosi wiele ciekawych i atrakcyjnych materiałów z dziedziny literatury, muzyki, filmu i plastyki. Henryk Czyż, znakomity dyrygent dzieli się swymi wspomnieniami z tomu „Zapiski z podróży". Władysław Orłowski z racji X Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji, pisze o „Łodzi poetyckiej", a Andrzej Hampel, w szkicu „Wokół Arkadii" omawia sylwetkę i drogę twórczą Ryszarda Binkowskiego, młodego, dobrze zapowiadającego się pisarza łódzkiego. O niełatwych sprawach plastyki i kultury plastycznej, z dyrektorem Muzeum Sztuki — Ryszardem Stanisławskim, rozmawia Jerzy Kwieciński. Poza tym wiele innych materiałów i sporo dobrych zdjęć zabytków architektonicznych Łodzi.

Jak zwykle, na osobnej wkładce, zainteresowani znajdą szczegółowy repertuar kin i teatrów, a także organizowanych imprez muzycznych oraz przegląd sal wystawowych.

Zmęczonym łódzkim kurzem i wielkomiejskim hałasem proponuje się szereg wycieczek turystycznych — pieszych, rowerowych i innymi środkami lokomocji, tudzież imprezy urządzane na świeżym powietrzu.

Na uwagę zasługuje fakt, iż już od lipca zakłady pracy, szkoły, biblioteki oraz inne instytucje, będą mogły otrzymywać „Kalejdoskop" w prenumeracie.

ODZNACZENIE PTL „PINOKIO"

Jeden z najstarszych w kraju, a działający już od 1 maja 1945 roku w Łodzi, cieszący się ogromną popularnością, Państwowy Teatr Lalek „Pinokio", w uznaniu zasług na polu wychowania dzieci i młodzieży, odznaczony został przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania, Medalem Pamiątkowym Komisji Edukacji Narodowej. Dorobek sceny dziecięcej tego teatru wyraża się wystawieniem ponad stu premier i imponującą liczbą 16 tysięcy zrealizowanych na scenie własnej i w terenie, spektakli.

Zasłużeni artyści i pracownicy poza przyznaniem specjalnych nagród, usatysfakcjonowani zostali także przez Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, wręczeniem dyplomu „Przyjaciela Dziecka".

W imieniu naszych Milusińskich, życzymy zespołowy wiele jeszcze pięknych sukcesów artystycznych.

DZIEŃ BIBLIOTEK

Tegoroczne Dni Kultury, Oświaty i Prasy zamknął uroczyście obchodzony Dzień Bibliotek. Z okazji tej, w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. L. Waryńskiego odbyło się spotkanie aktywu łódzkich bibliotek.

Wyniki współzawodnictwa, podjętego na 30-lecie PRL, podsumował dyrektor Roman Kaczmarek. Najlepszymi wynikami poszczycić się może 17 placówek, z czego do pierwszych zaliczyć należy MBP im. L. Waryńskiego i bibliotekę dzielnicową Łódź Śródmieście.

Podczas tego uroczystego spotkania, wyróżniający się w pracy zawodowej i społecznej bibliotekarze Jan Gruszczelak, Stanisław Kołodziejczyk, Czesława Przybylska, Józef Robowski i Zofia Strzelczyk, udekorowani zostali Odznaką Zasłużonego Działacza Kultury. Ponadto ośmiu osobom wręczono dyplomy ministra kultury i sztuki, dwie zaś otrzymały nagrody dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi.

ZAKOŃCZENIE KONKURSU ŚPIEWACZEGO

Zorganizowany przez Łódzkie Towarzystwo Muzyczne im. K. Szymanowskiego, pod patronatem Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, VI Ogólnopolski Konkurs Śpiewaczy został zakończony. Uroczyste ogłoszenie wyników i rozdanie nagród wraz z koncertem laureatów odbyło się w Teatrze Wielkim.

Pierwsze miejsce w gronie nagrodzonych pań zajęła ELIGIA KŁOSOWSKA — solistka Opery Śląskiej w Bytomiu, drugą nagrodę przyznano AGACIE MŁYNARSKIEJ z Wrocławia, trzecią natomiast nagrodę otrzymała KRYSTYNA RORBACH z Łodzi. Dwa wyróżnienia otrzymały również łodzianki — HALINA MRUGACZ i ŁUCJA WIERZBIŃSKA — JÓŹWIAK.

Wśród panów postanowiło nie przyznawać nagrody pierwszej. Nagrodą drugą uhonorowano JANUSZA WOLNEGO z Krakowa, a trzecią — WŁODZIMIERZA ZALEWSKIEGO z Łodzi. Ponadto nagrodzeni zostali dwaj najlepsi akompaniatorzy — łodzianin — Bronisław Hajn i Janina Solecka.

NOWY FILM O ŁODZI

Młody reżyser Wojciech Wiszniewski wraz z J. Rybczyńskim zrealizowali w WFO film pt. „Wanda Gościmińska, włókniarka". Sądząc na podstawie tylko tytułu jest to film o znanej włókniarce, która swe życie i działalność związała z Łodzią. W istocie jednak reżyser poszedł znacznie dalej i „pokusił się o stworzenie pewnej panoramy miasta i ludzi w ostatnim pięćdziesięcioleciu. Operując piękną metaforą i poetycką niemal symboliką, twórca daje niejako syntezę procesów społeczno-ekonomicznych i zachodzących zmian, charakterystycznych dla losów miasta i jego mieszkańców w tym okresie. Postać tytułowej bohaterki staje się pretekstem do ukazania mechanizmów i społecznych uwarunkowań ludzkiej działalności, w kształtowaniu losów człowieka, rodziny i miasta, do udzielenia odpowiedzi na zasadnicze pytanie o sens jego pracy i życia. Jest to film dobry i ładny, a przy tym w swej poetyckiej formie niesłychanie sugestywny.

GŁOS ROBOTNICZY

GAZETA DLA MILIONA

Z naczelnym redaktorem „Głosu Robotniczego" – JANEM PAKUŁĄ rozmawia Lucjusz Włodkowski.

21 czerwca 1945 roku ukazał się pierwszy numer „Głosu Robotniczego", organu Komitetu Wojewódzkiego i Miejskiego Polskiej Partii Robotniczej w Łodzi. Od pięciu już lat zawsze w czerwcu każdego roku gazeta organizuje swoje święto. Ustanowione w 1970 roku święto „Głosu Robotniczego" przekształciło się przed dwoma laty w święto Czytelników „Głosu Robotniczego". Ta pozornie drobna zmiana oddaje bardzo wyraźnie istotną rolę, jaką spełnia prasa partyjna – służenie społeczeństwu nie ograniczające się tylko do informowania go o wydarzeniach, ale pełnienie też roli organizacyjnej w społecznym życiu.

— Tak było zawsze w trzydziestoletnich dziejach „Głosu Robotniczego" — mówi redaktor JAN PAKUŁA. — Pismo od pierwszych swoich dni żywo uczestniczyło w życiu politycznym i społecznym regionu. Można to prześledzić w rocznikach gazety, ale wspomnienia z jakże różnej trzydziestoletniej historii gazety zachowały się w pamięci starszej części zespołu.

— Gazeta od pierwszych dni uczestniczyła w wielkich kampaniach politycznych, propagując i wyjaśniając politykę partii.

— W okresie referendum, w 1946 roku, członkowie zespołu redakcyjnego nie tylko pisali, zbierali materiały do swoich artykułów, ale też zajmowali się kolportażem gazety, starając się dotrzeć do jak największej liczby czytelników. Po zjednoczeniu partii w 1948 roku „Głos Robotniczy" połączył się z pismem PPS — „Kurierem Popularnym" i stał się gazetą Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Były to czasy odbudowy powojennych zniszczeń, czasy tworzenia podstaw nowego ustroju społecznego. Czasy burzliwe, ale i niebezpieczne.

— Niełatwo wówczas było być dziennikarzem.

— Jak to wspominają starsi koledzy na terenach ówczesnego województwa łódzkiego, kiedy działały jeszcze bandy reakcyjnego podziemia, można było porządnie oberwać za pracę w partyjnej gazecie, a można było stracić i życie. Zresztą i później w okresie ostrej walki klasowej ekipy dziennikarzy i działaczy partyjnych brały udział w pracy agitacyjnej i to też nie było najlżejsze i najspokojniejsze zadanie.

Ale to już historia łódzkiego dziennikarstwa.

— Szkoda tylko, że mało znana. Dziennikarze goniąc zawsze za najświeższymi wydarzeniami nie przejawiają wielkiej ochoty do opisywania tego, co minęło.

— I trudno temu się dziwić. Taki jest sens tego zawodu, jego społeczne zadanie. Ale to nie przeszkadza, aby starsi koledzy, którzy już przeszli na odpoczynek, pomyśleli o spisaniu tego, co w życiu łódzkiego środowiska dziennikarskiego warto byłoby zachować.

— „Głos Robotniczy" z okazji organizowanych świąt Czytelników gazety przypomina niektóre fakty ze swojej przeszłości oraz prezentuje swoją teraźniejszość. Jak wygląda ta teraźniejszość gazety?

— Rozumiem, że chodzi tu przede wszystkim o podstawowe fakty. Nasz średni nakład wynosi 296 tys. egzemplarzy, a wydanie sobotnio-niedzielne gazety osiągało nakład przekraczający pół miliona egzemplarzy.

— Jeśli przyjąć, że jeden egzemplarz gazety czytają przynajmniej 3 osoby, to zasięg oddziaływania „Głosu Robotniczego" jest rzeczywiście duży. Czy obecnie, po zmianach w podziale administracyjnym kraju, po reformie systemu funkcjonowania władzy państwowej, zasięg waszego oddziaływania pozostanie taki sam?

— Przygotowujemy się do obsługiwania znacznie większego terenu niż to było dotychczas, a więc można spodziewać się, że również wzrośnie zasięg naszego oddziaływania wyrażany ilością sprzedawanych egzemplarzy gazety. Zespół nasz pracuje obecnie nad tymi sprawami, przygotowując się do pełnienia innej roli niż to było dotychczas.

— W czym to się będzie wyrażało?

— Gazeta będzie obsługiwała więcej niż jedno województwo. A to spowoduje — po pierwsze — bogatszy serwis informacyjny, który będziemy chcieli przekazać czytelnikowi. I po drugie — wzbogaci niepomiernie problematykę publicystyki. Naszym zadaniem będzie przygotowywać społeczeństwo do myślenia w kategoriach kraju, uczyć wiązania roli danego regionu z całym krajem, pokazywania spraw kraju przez pryzmat spraw regionu. Aby to zadanie wypełniać sami musimy nauczyć się myśleć innymi kategoriami.

— Będzie to wymagało ostrej selekcji informacji, jakie będą napływały do redakcji. Konieczności wyłapywania tego, co najistotniejsze, aby na łamy gazety, docierającej do Czytelników, z różnych regionów, nie przedostawały się informacje mało ważne, mało istotne.

— Zdajemy sobie sprawę z tego, że będzie to wymagało zmian organizacyjnych w pracy zespołu i zmian koncepcyjnych. Wiemy przecież, że nasza gazeta jest dla wielu Czytelników głównym źródłem informacji o wydarzeniach i sprawach świata i kraju. A więc trzeba będzie dostarczać Czytelnikom tych wiadomości. Z drugiej strony nie chcielibyśmy, aby nic co istotnego będzie się działo na obszarze, jaki będziemy obejmowali swoim zasięgiem, nie uchodziło naszej uwadze. Zmienić się zatem muszą formy informowania i zmienić się musi publicystyka.

Doskonale zdajemy sobie sprawę, że nie będzie to łatwe i nie dokonamy zmian szybko, że gazeta będzie się przez pewien czas stopniowo przystosowywała do nowej sytuacji, jaka wytworzyła się w kraju. Ale zespół „Głosu Robotniczego" jest zespołem doświadczonym, o stosunkowo wysokich kwalifikacjach i przy dobrym przygotowaniu koncepcji pracy w nowych warunkach podoła zadaniom, jakie stoją obecnie przed nim.

— „Głos Robotniczy" ma już tradycję w organizowaniu wielu pożytecznych akcji. Jak w nowych warunkach zespół widzi swoją rolę organizatorską?

— Chcemy utrzymać kierunek naszych akcji, gdyż jest on pożyteczny i został zaaprobowany przez Czytelników gazety. Przecież z żywym przyjęciem spotkała się nasza akcja „Mieszkania dla sierot", która ostatnio jakby trochę przygasła. Z takim samym przyjęciem spotkała się inna nasza akcja: „Każdy dzień na wagę złota", czy organizowany od dwu lat konkurs „Ludzie inicjatywy społecznej". Obecnie z okazji święta Czytelników „Głosu Robotniczego" organizujemy sesje poświęcone problematyce młodzieżowej. I to też spotyka się z żywym zainteresowaniem.

Myślę, że w przyszłości narodzą się nowe akcje, których potrzebę zrodzi życie, ale będą one niewątpliwie leżały w zasięgu naszego głównego działania: popularyzowania ludzi dobrej roboty, tworzenia w życiu politycznym i społecznym nowych, wyższych form działania, stwarzania warunków dla tego wszystkiego, co przyczynia się do szybszego rozwoju naszego kraju.

— Jak wynika z badań nad prasą, „Głos Robotniczy" legitymuje się najwyższym wykorzystaniem listów, jakie otrzymujecie od Czytelników. Jak wiele jest tych listów?

— Bardzo różnie. Są dni, w których przychodzi 300 i więcej listów. W każdym razie można powiedzieć, że nie otrzymujemy mniej niż 100 listów dziennie. Nie licząc oczywiście, tych listów, które są kierowane nie do redakcji, a bezpośrednio do poszczególnych dziennikarzy. Otrzymujemy wiele telefonów, a także bardzo dużo Czytelników składa nam wizyty, przychodząc ze swoimi sprawami i kłopotami.

— Najwięcej listów otrzymuje zapewne „Małe wydanie GR"?

— Listów i telefonów. I tu można zaobserwować niezwykle ciekawe zjawisko. Każdy przejaw krytyki przeprowadzonej w „Małym Głosie" — jak tę rubrykę nazywają Czytelnicy — znajduje niemal natychmiastową reakcję. Jeszcze tego samego dnia niekiedy, a już z reguły następnego otrzymujemy wiadomość o usunięciu krytykowanego faktu czy zjawiska.

— Czym to można wytłumaczyć, zważywszy, że bardzo często krytyka prasowa nie znajduje żadnego odzewu?

— Myślę, że przede wszystkim konkretnością krytykowanych zjawisk, a poza tym i tym, że jest to krytyka inspirowana przez Czytelników.

— Trudno byłoby powiedzieć, aby krytyka uprawiana w innym miejscu tej samej gazety nie posiadała tych samych cech.

— Oczywiście, że nie, chociaż zdarzają się czasem daleko idące uogólnienia. Ale w społeczeństwie funkcjonuje pewien stereotyp odbioru krytyki. Po pierwsze — ludzie krytykowani za takie czy inne niedopatrzenie, za taką czy inną nieudolność zbyt łatwo skłonni są uznać, że krytyka jednego faktu z ich bogatej działalności jest skłonna przekreślić cały ich dorobek. Po drugie — ludzie krytykowani za konkretne niedopatrzenie zbyt łatwo utożsamiają się z instytucją. I odwrotnie — krytykę instytucji wadliwie funkcjonującej utożsamia się z krytyką ludzi.

— I zamiast zastanowić się nad tym, jak usunąć to, co nam wszystkim przeszkadza, cały wysiłek kieruje się na obronę, na wyszukiwanie argumentów, aby dowieść, że krytykujący czepia się, działa w złej intencji.

— Trzeba zatem po prostu cierpliwie uczyć ludzi odbioru krytyki i reagowania na krytykę. Nie jest to łatwe, ale niezbędne. A można to osiągnąć — moim zdaniem — poprzez konkretną, przemyślaną, rzeczową krytykę, uprawianą bez złośliwości, adresowaną do ludzi i dla nich zrozumiałą. To też wymaga pewnych zmian w sposobach myślenia dziennikarzy. Sądzę, że sprzyjać temu będzie powszechne obecnie uczenie się myślenia kategoriami kraju, narodu, wiązania naszej działalności regionalnej z wytężonym wysiłkiem całego kraju.

— Na zakończenie chciałbym w imieniu zespołu redakcyjnego „Odgłosów" i w imieniu naszych Czytelników złożyć zespołowi „Głosu Robotniczego" najlepsze życzenia z okazji trzydziestolecia gazety, życzyć dziennikarzom dziennika partyjnego jak najlepszego wywiązywania się z nowych zadań, a Czytelnikom – żywo redagowanej, ciekawej i dobrze informującej gazety.

FILM O SZTUCE

MEMLINGA ŚWIAT OŻYWIONY

Jest to film, którego interpretacja stałaby się z konieczności interpretacją przedstawianego przezeń dzieła sztuki, film „opowiadający" poprzez wydobywanie z obrazu malarskiego, jego najgłębszego sensu. Stanowić może przykład, jak doskonałą prostotę środków formalnych uczynić można najbardziej czułym instrumentem analitycznym.

W filmie Kazimierza Muchy „Świat Memlinga w trzech odsłonach" komentarz ograniczony jest do niezbędnego minimum. Występuje tylko na początku i na końcu filmu i spełnia funkcję podwójną — przekazuje najbardziej istotne informacje o burzliwych, wręcz sensacyjnych dziejach dzieła niderlandzkiego mistrza, jednocześnie w pierwszej swej części intryguje widza-słuchacza, pobudzając jego wyobraźnię do tego stopnia, że chwila, w której na ekranie pojawia się sfilmowane ze znacznej odległości dzieło, staje się końcem oczekiwania, momentem finalnym. Zarazem jest to dopiero początek — chwila, w której martwa plama obrazu zaczyna wypełniać sobą ekran, wykraczać poza jego ramy, gdy ciemna sala kinowa otwiera swój cudowny wizjer na świat przeniesiony poprzez czas i przestrzeń. Następuje wtedy podwójne zderzenie — naszej świadomości ze światem dzieła sztuki, ograniczoności przestrzennej obrazu, z zawierającym się w nim dramatem. Kamera filmowa ukazuje swą niezwykłą zdolność — pozorna statyczność ujęcia rozpada się pod spojrzeniem obiektywu na ciągi ruchowych elementów, obraz ożywa, ekran rozpoczyna swój fantastyczny spektakl.

Film nie posługujący się „odreżyserską" fabułą wydobywa ją z dzieła. Kamera wdziera się w świat obrazu, rozbijając jego jedność na dziesiątki mikroskopijnych elementów, które łączą się w wyobraźni widzów w logicznie umotywowaną całość, tworząc nową, dramatyczną wizję. Alegoria staje się przejmującym konkretem, XX-wieczna sztuka filmowa zezwala postaciom z XV-wiecznego tryptyku na wykrzyczenie swojej prawdy poprzez przeniesienie ich z przestrzeni, w której zastygły, w ekranowy byt czasoprzestrzenny.

Obraz, widziany w sali Muzeum Pomorskiego w Gdańsku, jako dwuwymiarowa kompozycja zamknięta, otwiera swoją wewnętrzną przestrzeń. Kamera, a za nią widzowie — w tej chwili najdoskonalsi z widzących — osiągają moc poruszania się po świecie Memlinga w przestrzeni trójwymiarowej. Nagłe zbliżenia ukazują najdrobniejsze detale. Twarze postaci, które możemy zobaczyć zawsze tylko właśnie jako postacie, wyzwalają swój zastygły strach, rozpacz, milczącą walkę. Kropla potu spływająca po twarzy, przestrzeń z naszej strony obrazu, odbijana przez lśniący pancerz Gabriela, najdrobniesze szczegóły dalekiego krajobrazu — Sąd Ostateczny nie ma już tajemnic, które kryły się dotychczas przed okiem nie uzbrojonym w kamerę. Sztuka Hansa Memlinga staje przed nami czysta, wydestylowana ze wszelkich zanieczyszczeń, jakie z przyczyn obiektywnych niesie ze sobą ogląd tradycyjny.

I oto dzieje się rzecz zaskakująca. Teraz, gdy już w sposób pełny wkroczyliśmy w ten świat, kiedy zobaczyliśmy go i przeżyliśmy w stopniu, zdawałoby się, najdoskonalszym, absolutnym — narasta jednak potrzeba bezpośredniego z nim kontaktu; kiedy film ukazał nam pewną interpretację dzieła — wydaje się, że mogłoby przemówić ono jeszcze pełniej. A to, sądzimy, będzie możliwe już tylko poprzez stanięcie przed nim, przez powtórne, jeszcze bardziej osobiste przeżycie tego, co zawdzięczamy dziełu filmowemu. Czy możemy się tym „pofilmowym", jednak wtórnym spotkaniem rozczarować? Chyba nie. Ale nawet gdyby tak było — spojrzenie kina jest już naszą własnością. Z filmu Kazimierza Muchy mamy prawo wracać wstrząśnięci. Ujrzeliśmy świat Memlinga. Doznaliśmy tego, o czym pisał Paul Haesaerts:

„Niemała to przygoda móc spojrzeć na świat okiem XV- czy XVI-wiecznego artysty. Zatrzymać coś z przenikliwego spojrzenia szlachetnego Van Dycka, z czułego spojrzenia dramatycznego Van der Weydena, z nieśmiałego, zachwyconego spojrzenia Dirka Boutsa (...), z tkliwego spojrzenia Memlinga, z płonącego ciekawością spojrzenia Metsijsa, z pełnego humoru, ale również myśli i głębi spojrzenia genialnego Pietera Brueghela.

Spojrzeć choćby przez chwilę na świat oczyma takich ludzi, to rozszerzyć na zawsze swe własne powieki".

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny), WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (zastępca sekretarza redakcji).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

PROBLEMY

PRAWO CHRONIĄCE

Z PROKURATOREM GENERALNYM PRL – LUCJANEM CZUBIŃSKIM rozmawia ZOFIA TARNOWSKA

Zmiany w świadomości społecznej zachodzą niezwykle powoli. Jest to proces skomplikowany, trudny i jest on daleko w tyle za tempem przemian zachodzących w sferze materialnej narodu. Pozostaje więc znaczny margines dla zjawisk ujemnych, szczególnie dokuczliwych dla życia społecznego. W tej sytuacji prawo karne ciągle jest dominującym czynnikiem w kształtowaniu postaw ludzkich.

— Nie jest to do końca prawdziwe — mówi Lucjan Czubiński, prokurator generalny PRL. — Prawo karne jest nadal ważnym instrumentem dyscypliny społecznej, wymuszającym pożądane społecznie postawy. Jego oddziaływanie będzie malało dopiero i tylko wtedy, kiedy konstruktywne postawy społeczne będą powszechne i nadto rodzić się będą nie w wyniku konformistycznego kompromisu, ale świadomego rozumienia swych zadań przez każdego obywatela. Ostrze norm karnych wyraźnie jednak — i to już obecnie — jest skierowane na sprawy o szczególnie dużym ładunku szkodliwości społecznej, a więc zabójstwa, rozboje, gwałty, afery gospodarcze, a także przeciwko sprawcom, działającym z niskich pobudek, w sposób cyniczny, bestialski, powracających na drogi przestępczego działania, żyjących kosztem innych. Wobec tych, którzy nie wykazują głębszego zdemoralizowania — organa ścigania i wymiaru sprawiedliwości coraz szerzej stosują wszelkie formy oddziaływania karnego bez pozbawienia wolności.

— A więc profilaktyka.

— Jest to kierunek utrwalający się już w świadomości społecznej i praktyce działania organów ochrony społecznej — prokuratury, milicji, sądów.

— Ten kierunek istnieje, ale pozostaje on w niejakiej sprzeczności z zakresu działania organów ścigania.

— Tylko pozornie. Obecnie jest to podstawowy kierunek naszej pracy. Zgodnie z polityką partii i państwa należy doskonalić metody pracy profilaktycznej. Nie wytarcza już sygnalizowanie braków w organizacji pracy przedsiębiorstw, urzędów i instytucji czy niedopuszczalnych przejawów negacji społecznej różnych rozwydrzonych, pasożytniczych elementów. Nie wystarcza inicjowanie poszczególnych kroków zaradczych. Trzeba zadbać o kompleksowe rozwiązywanie bolesnych problemów, do jakich należą wszelkie nieprawidłowości w życiu społecznym.

— W oparciu o duże doświadczenie organów ścigania i sądów, można podjąć walkę o pełny kształt ludowej praworządności. W przekonaniu ludzi uczciwych, a często gnębionych za „wyłamywanie się z układów" — organa ścigania mają tu największą rolę do spełnienia.

— Stawiamy sobie takie zadanie.

— A więc jest możliwe, aby organa ścigania wkraczały coraz szerzej w stosunki społeczne?

— Możliwe. Wkraczanie na grunt bezpośrednich oddziaływań społecznych rozumiemy jako ścisły kontakt z ludźmi, którym mamy służyć pomocą, rozwiązywać ich trudne uwikłania prawne, wysłuchiwać skarg, wniosków, organizować ich działanie samoobronne przed krzywdą wyrządzoną rozmyślnie czy bezmyślnie, ze złych pobudek czy w wyniku znieczulicy lub beztroski.

— Nie może to być jednak jedyny tor działania wychowawczego.

— Człowiek wychowuje się w toku pracy, tym wszechstronniej, jeśli rozwija się w warunkach gospodarskiej troski o wspólne dobro, o wzajemny szacunek, koleżeńską współpracę i szlachetne współzawodnictwo — oczywiste w warunkach koniecznego, nierozerwalnego związku rzetelności zawodowej i ideowej. Umacnianiu się socjalistycznych stosunków w życiu społecznym towarzyszyć musi prawo, chroniące najżywotniejsze interesy ogółu i jednostek.

— Jak w tym kontekście wygląda polityka karna?

— W okresie ostatnich lat zanotowaliśmy wiele niezaprzeczalnych osiągnięć w zwalczaniu jak i zapobieganiu przestępczości. Wyraża się to większą skutecznością działania prokuratury. W 1974 roku prokuratury oskarżyły przed sądami o przeszło 11 tysięcy osób mniej, niż w 1973 roku, a w stosunku do 1971 roku — o 34 procent.

— Co miało na to wpływ?

— Trafność decyzji o wszczęciu postępowania przygotowawczego. W roku 1973 zmniejszyliśmy o 40 tys. (ponad 40 procent w stosunku do roku 1971) liczbę postępowań przygotowawczych. Umorzono wiele spraw wobec niestwierdzenia przestępstwa.

Zaostrzyliśmy jednocześnie rygory ścigania przestępstw najgroźniejszych, godzących w bezpieczeństwo, porządek publiczny czy interes gospodarczy państwa. Coraz pełniej urzeczywistnialiśmy zasadę nieuchronności kary, doprowadzaliśmy do szybkiego osądzenia sprawców, nadto zaś bardziej skutecznie oddziaływaliśmy na kształtowanie odpowiednio surowego orzecznictwa. Równocześnie doskonaliliśmy naszą praktykę stosowania pozarepresyjnych środków oddziaływania na sprawców dopuszczających się przestępstw o nieznacznym stopniu społecznego niebezpieczeństwa.

— Można spotkać się także z tendencjami nawołującymi do humanitarnego traktowania nawet najgroźniejszych przestępców.

— Chronić prawa ludzi pracy — to pierwszy nakaz dla każdego funkcjonariusza milicji, prokuratora, sędziego. Tworzenie klimatu potępienia społecznego dla zbrodni, wszelkiej nieprawności czy bezduszności — to obowiązek nas wszystkich. Ale nie jest to jeszcze obowiązek w pełni uświadomiony. Często jeszcze widzi się człowieka w przestępcy, a nie dostrzega nieszczęścia ofiary. Z tego powodu złożyliśmy do Sądu Najwyższego wniosek o wzmożenie ochrony pokrzywdzonych w procesach karnych.

— Jednak zło ma swoje źródła nie oderwane od rzeczywistości, tkwi ono w stosunkach rodzinnych, w kulturze, a raczej jej braku, w oporze przeciwko normom zdrowego życia.

— Dlatego rozwijamy profilaktykę. Staramy się, aby każdą sprawę uznawać za zakończoną dopiero wtedy, kiedy stwierdzi się, jak można ustalenia ze śledztwa lub dochodzenia, wykorzystać do działań profilaktycznych. Z roku na rok szerzej angażujemy organizacje społeczne do współdziałania.

— Daje się zauważyć coraz aktywniejszy udział społeczeństwa w pomaganiu organom ścigania. Mamy raz po raz do odnotowania przypadki wręcz bohaterstwa w przeciwstawianiu się bandyckim napadom.

— Honorujemy ludzi godnych szczególnego szacunku, którzy dzielnie wspomagają organa porządku publicznego, biorąc bezpośredni udział w ujmowaniu przestępców, ujawnianiu źródeł zła społecznego.

ROLNICTWO

SAMOLOT I ŻNIWIARKA

JACEK INDELAK

Łódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Sprzętem Rolniczym „Agroma" jest jednym z pięciu – obok Szczypiorna, Gorzowa, Białegostoku i Krakowa – przedsiębiorstw handlujących sprzętem rolniczym. Ma ono wyłączność dostaw importowanych maszyn i części zamiennych, a także wszystkich typów kombajnów zbożowych i buraczanych, pras, siewników, dojowni, deszczowni i kosiarek rotacyjnych. Przez jej teofilowskie magazyny przechodzi sprzęt rolniczy przeznaczony dla całego kraju.

Obroty ma ogromne. W 1972 roku przekroczyły wartość dwóch miliardów sześciuset milionów złotych. W ciągu zaś dwóch następnych lat — przy tym samym poziomie przeciętnych cen — uległy podwojeniu. Pod względem ich wielkości łódzka „Agroma" zajmuje dziś — po Szczypiornie — drugie miejsce w kraju.

„Agroma" jest wielkim hurtownikiem, pracującym na rzecz państwowych gospodarstw rolnych, spółdzielni rolniczych, państwowych ośrodków maszynowych. Dzięki temu rolnik nie musi wcale jeździć do Łodzi i szukać części zamiennych na Teofilowie, gdyż może i powinien je dostać w POM. Ale złośliwi twierdzą, że rolnik po to mechanizuje swoją gospodarkę, aby mieć więcej wolnego czasu, który potrzebny mu jest po to, aby spędzać go w „Agromie".

I istotnie nietrudno tu spotkać prywatnych klientów, którzy zjeżdżają do Łodzi, aby załatwić jakiś swój interes.

Dlaczego przyjeżdżają? Powody są różne: niecierpliwość, niedoinformowanie, nieporozumienie. Najwięcej jest takich, którzy zakupili maszynę nowego typu, której części zamienne nie trafiły do sieci sprzedaży detalicznej, a maszyna — traf chciał — nawaliła. Tego jednak nie powinien załatwiać sam rolnik, gdyż sprzęt w okresie gwarancyjnym naprawiany jest przez odpowiedni POM. Na szczęście, wśród tych rolników, którzy nie zlecają napraw POM, lecz przyjeżdżają do „Agromy" po należną im część zamienną, bez porównania jest więcej niecierpliwych majsterkowiczów, niż tych, którzy dogadać się z POM nie mogą lub też niezadowoleni są z jakości jego usług.

Przyjeżdżają, bo wiedzą, że — chociaż nie powinni tego sami załatwiać w „Agromie" — odstoją swoje w kolejce, załatwią odpowiednie papierki i wrócą do domu z potrzebną im częścią. Przyjeżdżają, choć z reguły wiedzą, że wystarczy pisemne czy nawet telefoniczne zgłoszenie, a „Agroma" tę część przyśle im do domu sama.

Miesiąc w miesiąc wysyła „Agroma" drogą pocztową półtora do dwóch tysięcy takich przesyłek przeznaczonych dla prywatnych odbiorców w całym kraju. Mimo, iż ilość załatwionych spraw tego typu nie jest wcale mała, dostawy na rzecz indywidualnych rolników stanowią w działalności przedsiębiorstwa margines, który powoli i skutecznie się zmniejsza.

POM, PGR, SKR — to główni kontrahenci „Agromy", z którymi współpraca w ostatnim czasie układa się coraz lepiej. Wypracowany został, na przykład, system cyklicznych, składanych z dużym wyprzedzeniem, hurtowych zamówień. Zamówienia, sporządzane przez zaopatrzeniowców czy też elektronową (sic!) maszynę cyfrową, obejmują kwartalne dostawy części, realizowane jednak przez „Agromę" w trzech, comiesięcznych ratach.

Realizacja tych zamówień wygląda w praktyce tak: na ściśle określony dzień magazyn przygotowuje wysyłkę do ekspedycji, umieszczając części w specjalnych kontenerach. Kontenery te — jak i większe detale — czekają już, kiedy pod magazyn „Agromy" podjeżdża samochód zamówiony przez nią, lub też przez samego odbiorcę. Wszystko przygotowane, godzina odjazdu samochodu z góry ustalona, więc i załadunek nie trwa długo. Słowem, system wygodny dla wszystkich kontrahentów.

Znacznie bardziej skomplikowana jest sprawa z tzw. zamówieniami doraźnymi. Tych bywa od trzydziestu do czterdziestu dziennie. Oznacza to codzienne wizyty od trzydziestu właśnie do czterdziestu zaopatrzeniowców reprezentujących różne przedsiębiorstwa których sprowadza tu niespodziewana awaria prasy do zgniatania pasz, kosiarki rotacyjnej czy — powiedzmy — silosokombajnu. Wizyty konieczne i nieuniknione. Zaopatrzeniowiec nie jest bowiem wróżką i nie jest w stanie przewidzieć i wstawić do kwartalnego planu wszystkich awarii całego pozostającego pod jego opieką sprzętu.

Właśnie te wizyty wnoszą do działalności przedsiębiorstwa atmosferę nerwowości i pośpiechu. Każda z takich spraw jest przecież — dla jednego czy drugiego zaopatrzeniowca — najważniejsza i najpiekniejsza. Każdy też chce ją w jak najkrótszym czasie załatwić. Stąd ta bieganina po schodach, trzaskanie drzwiami, ponaglanie magazynierów i urzędników, soczyste wiązanki i papierosy, odpalane jeden od drugiego.

Nikt się tu jednak nawet co bardziej krewkim i niecierpliwym klientom nie dziwi: działają oni przecież na zasadzie pogotowia ratunkowego instytucji, którą reprezentują.

Realizacja zamówień doraźnych nie jest łatwa i to nie tylko dlatego, że trzeba wystawić specyfikację, wypisać masę innych papierków i druczków, ale przede wszystkim z tego powodu, że zamówienie musi przygotować magazyn. A to już nie jest takie proste. Asortyment „Agromy" w samych tylko częściach zamiennych sięga czterdziestu pięciu... tysięcy pozycji. W „Agromie" roczny obrót mierzony jest dziesiątkami milionów sztuk części. Ot, takich strzyków gumowych do mechanicznych dojarek sprzedaje się tu rocznie milion sztuk, a zwykłych nożyków do kosiarek — pół miliona sztuk.

Co dzień sto samochodów ciężarowych opuszcza magazyny przedsiębiorstwa, bywają jednak i dni rekordowe, w których ciężarówek jest pół raza więcej. Z wyekspediowaniem ich uporać się musi 260 pracowników przedsiębiorstwa, z których na służbę magazynowo-transportową przypada połowa.

Przedsiębiorstwo uwikłane jest w wielki, nader skomplikowany system wzajemnych powiązań i zależności, który współtworzą dziesiątki dostawców, z jakimi „Agroma" na co dzień współpracuje. Wystarczy powiedzieć, że części do kombajnów otrzymuje ona od... stu czterdziestu różnych dostawców, krajowych i zagranicznych. Niech tylko jeden z nich nawali, nie dotrzyma umowy...

Każdy, kto podczas zeszłorocznej akcji żniwnej zwracał do „Agromy" każdy, kto musiał korzystać z jej usług, przyzna chyba, że miał tu do czynienia z organizacyjnym majstersztykiem. Zamówiona „żniwna" części zamienna docierała w kilka godzin. Ziemią i powietrzem. „Agromie" oddano do dyspozycji dwa samoloty, z Żerania wypożyczono pięć eksperymentalnych „Fiatów" z napisem: „Pomoc dla rolnictwa". W ciągu niespełna dwóch tygodni samoloty te przelatały, a samochody przejeździły dziesiątki tysięcy kilometrów. Wprawdzie za wynajem środków transportu zapłaciła sama „Agroma", ale całej wartości tej pomocy nie da się spłacić w złotówkach.

Największa jej wartość polega na tym, że w „Agromie" przestano bać się — jak ongiś — zbliżającej się akcji żniwnej, że wszyscy jej pracownicy patrzą z optymizmem i w następne lata.

NIE TYLKO HISTORIA

RADZIECKI UCZONY O IGNACYM KRASICKIM

Wkład nauki obcej do badań nad literaturą polskiego Oświecenia jest znaczny. Doskonałą w swoim czasie monografię twórczości Ignacego Krasickiego zawdzięczamy francuskiemu tłumaczowi i badaczowi Paul Cazin, człowiekowi którego Boy nazwał kiedyś „panem Kazińskim", wielkiemu miłośnikowi naszej kultury. Wybitną książkę o Stanisławie Trembeckim opublikował niegdyś belgijski slawista Claude Backvis. W latach wojny ukazała się w Waszyngtonie książka o Adamie Naruszewiczu jako historyku, opracowana przez N. Rutkowską, zakonnicę amerykańską polskiego pochodzenia. Nie wiem czemu żadna z tych książek nigdy nie została przetłumaczona na polski. Naszej polityki przekładów doprawdy zrozumieć nie sposób. Ale literatura polskiego Oświecenia zajmuje się nie tylko uczeni na Zachodzie: interesuje ona polonistów i slawistów w wielu innych krajach, w szczególności zaś badaczy w Związku Radzieckim.

Dopiero dzisiaj dotarła do moich rąk wydana przed rokiem przez Instytut Słowianoznawstwa i Bałkanistyki Akademii Nauk ZSRR książka Aleksandra W. Lipatowa pt.: „Geneza polskiej oświeceniowej powieści", dziełko niewielkie rozmiarem, ale bardzo interesujące, poświęcone twórczości powieściopisarskiej Ignacego Krasickiego przedstawionej na szerokim tle polskiego Oświecenia. Jest to wynik blisko dziesięcioletnich badań autora, skoro pracę nad problemami polskiej oświeceniowej powieści rozpoczął już w 1961 r., nie jest to pierwsza publikacja A. W. Lipatowa z tego zakresu problemowego. Jeszcze w 1964 r. przedstawił on na ukraińskiej konferencji slawistycznej w Czerniowcach referat o Krasickim i powieści europejskiego Oświecenia, następnie ogłoszony drukiem. Później przyszły dalsze rozprawy i artykuły, a mianowicie studia o związkach Krasickiego z powieścią i prasą europejskiego Oświecenia (1965), dysertacja o powieściach Krasickiego i ich roli w rozwoju tego gatunku literackiego w Polsce (1965), artykuły o polskim romansie dydaktycznych czasów Oświecenia (1966), o początkach polskiej powieści (1966), o ideach J. J. Rousseau w Polsce i „nipuańskiej" utopii I. Krasickiego (1966) oraz o pierwszej polskiej powieści (1968). Książka ogłoszona w 1974 r. w wydawnictwie „Nauka" jest więc podsumowaniem wieloletnich badań, jednocześnie zaś — jak nas zapewnia autor — otwiera ich nowy etap: uczony pracuje obecnie nad przełomem romantycznym w literaturze polskiej.

Aczkolwiek A. W. Lipatow skupia swoją uwagę przede wszystkim na powieściach I. Krasickiego, mianowicie na „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadkach" oraz na „Panu Podstolim", utwory te bada na szerokim tle całokształtu polskiego piśmiennictwa czasów Oświecenia, w powiązaniu z literaturą zachodniej Europy. Znakomicie zna i wykorzystuje dorobek dawniejszej i współczesnej polskiej polonistyki, z którym zapoznał się zarówno w Związku Radzieckim jak i u nas, w 1969 r., podczas pobytu w naszym kraju. „Kontakty z polskimi uczonymi, udział w różnych naukowych spotkaniach, posiedzeniach, konferencjach, wymiana doświadczeń — wszystko to było bardzo owocne i wydatnie pomogło mi w pracy, pisze autor. Nie zatrą się w pamięci przyjacielska życzliwość i znana polska gościnność".

Oczywiście w krótkim felietonowym sprawozdaniu nie sposób podejmować dyskusji nad szczegółowymi problemami, rozpatrywanymi przez autora omawianej książki. Niechaj nam będzie wolno zwrócić jednak uwagę na zagadnienie ogólne, które znalazło się w centrum uwagi autora, mianowicie problem wzorów obcych oraz indywidualności twórczości powieściowej „Księcia poetów" I. Krasickiego. Jak wiadomo zagadnienia recepcji obcych wzorów — a żaden badacz Oświecenia nie może tej sprawy pominąć — były niejednokrotnie przedstawiane w sposób schematyczny: często wyolbrzymiano znaczenie obcego modelu, nieraz je bagatelizowano. A.W. Lipatow zaprezentował w swej książce rozumowanie bardzo subtelne i przekonywające, dobrze poparte materiałem źródłowym. Starał się mianowicie prześledzić, w jaki sposób obce wzory francuskiego i angielskiego Oświecenia, przeniesione na grunt literatury polskiej, w połączeniu z jej własnymi doświadczeniami jeszcze wydawać owoce, daleko przekraczające to, co powiedziano gdzie indziej, jak krytyczne przetworzenie klasycystycznych norm literackich prowadziło pod piórem I. Krasickiego do nowatorskich, oryginalnych ujęć literackich. „Doświadczyński" i „Podstoli" — pisze radziecki autor — to już nie indywidualne, swoiste i samodzielne pod względem ideowym rozwiązanie znanych motywów, schematów tematycznych, literackich obrazów, ale samodzielne przedstawienie, utworzenie samego motywu, schematu tematycznego, literackich obrazów oraz ich indywidualne, swoiste i samodzielne ideowo-stylistyczne rozwiązanie". Na tym właśnie — zdaniem A. W. Lipatowa — polegało znaczenie utworów powieściowych księcia biskupa warmińskiego w literaturze polskiej, dzieł otwierających drogę dla rozwoju literackiego gatunku powieści w naszym piśmiennictwie.

LEKTOR

JAN HUSZCZA

TABU

Jechało się wygodnie i spokojnie. W przedziale znajdowała się tylko jakaś zakonnica z niemowlęciem, które przeważnie spało, nawet pierś smokcząc przezsennie.

Co jakiś czas stawałem w oknie, aby przyjrzeć się dokładniej mijanym stacjom. Chociaż były starymi znajomymi, nie wszystko sobie przypominałem Zmieniły się zwłaszcza drzewa, układy klombów i roślinności na nich, najbardziej odporne na zmiany okazywały się ustępy — gdy pociąg stawał, trzeba było szybko podnosić szybę, gdyż natychmiast atakowały powonienie.

Jechałem do lubianego przez siebie miasta, w którym nie byłem jakieś dziesięć lat. Mając parę dni wolnych, chciałem w tamtym mieście powrócić do własnej przeszłości. Oczywiście, pozorowałem to sprawą do załatwienia, zdradzenie się z czymś takim jak „powrót do przeszłości" nie było w moim biurze bezpieczne, miałem w nim wrogów, łatwo można zostać podejrzanym o niezdolność adaptacyjną w stosunku do teraźniejszości, a wtedy adiu Fruziu — może nawet zajść konieczność poddania się różnym technikom psychoterapeutycznym!

Hm... Co właściwie zostało w tamtym mieście? Może tylko Helena? Z krewnych i bliskich nie mam tam nikogo wśród żywych. Wszyscy się porozjeżdżali, zresztą coraz ich ubywało, w dodatku zasiedziałość stała się przywilejem nielicznych. Chodzi więc o samo miasto o dawnym rodowodzie, niektóre jego zakątki; o rzekę, wspomnienie pogodnych ranków, spędzonych na niej w kajaku: wiosłowanie do porośniętych łoziną wysepek, wylegiwanie się w słońcu; chodzi o smak wcześnie dojrzewających czereśni, potem papierówek, cukrówek — jeszcze nie skażony chemikaliami. A może przede wszystkim chodzi o to, że było się o dziesięć lat lżejszym, sprawniejszym — miało się dostęp lub możliwość dostępu do czegoś, co teraz jest nieosiągalne. Właśnie chyba to: bezcenny dar samego poczucia możliwości bez dążenia do realizacji, bez chęci sprawdzania, które zawsze może rozczarować.

Ale dosyć tego. Jak można rozważać te sprawy w takich staroświeckich kategoriach, używać takich wyrazów! Trzeba myśleć w sposób powszechnie przyjęty, czyli wrócić do powszechnie używanych słów i zwrotów.

Tedy:

majowe opady, wiatry zmienne z przewagą południowo-wschodnich;

więzi formalne i nieformalne z mieszkańcami miasta;

lustro naturalnego zbiornika bieżącej wody, nazywającego się Wisłą, ongi malowniczo się rozlewającego, teraz jednak rzeczowo uregulowanego;

dość interesująca przez parę lat relacja: ja i Helena, zakłócona przez ingerencję osoby trzeciej, mężczyznę imieniem Henryk, co sprawiło że się wycofałem i nie wiem, czy chciałem się wycofać, więc skorzystałem z okazji, czy też musiałem to uczynić, okoliczności do tego mnie zmusiły?

Stary i młody drzewostan, liściasty oraz iglasty...

Miły marazm.

Hałas uliczny, rzadko osiągający trzydzieści decybeli.

Relikty przeszłości w postaci kilku starych kościołów i paru kamieniczek przy rynku, który od dawna nie był bazarem, zaopatrywano się bowiem w sklepach samoobsługowych.

Nadmiar aktywności u niektórych mieszkańców, wyrażający się w rozmaitych imprezach amatorskich.

Duża lojalność względem siebie wśród jednostek żeńskich i męskich.

Przejechaliśmy przez Wisłę, z mostu kolejowego tory biegły okrężnie, łagodnym łukiem w pobliżu miasta. Pociąg zatrzymał się przed dużym dworcem, ludzi wysiadło niewiele. Czyjeś głośne powitania, przerywane zwyczajowymi okrzykami: „k...mać..."

Na dworcu — bo wszystko chciałem obejrzeć — plakaty, kiosk z gazetami i papierosami, drugi z kosmetykami, a trzeci — jak i wszędzie — z mechanicznymi laleczkami, które po naciśnięciu odpowiedniego guziczka wykrzykiwały kobiecymi, męskimi i dziecięcymi głosami „k...mać", ale były też i laleczki o bogatszym zasobie słów, podobnie jednak niewybrednych; przepraszam: podobnie przyjętych, rozumianych jako zarciki.

Między drzewami obok dworca stało, leżało i siedziało kilkunastu mężczyzn w różnym wieku, od siwych i gołowłosych po gołowąsych, kilkanaście kobiet od bogunek o rozpuszczonych włosach po leciwe matrony.

— Cóż to za ludzie?

— Prawdziwi.

Ach, tak. Grupy Ludzi Prawdziwych widywało się przede wszystkim w mniejszych miastach — nie lubili dużych — dość często. Składały się z ludzi spokojnych. Ich naczelną dewizą było, iż człowiek potrzebuje właściwie niewiele — trochę odzieży, trochę jedzenia. Inne potrzeby zostały ludziom wmówione przez cywilizację i przemysł. Zdarzali się wśród nich i byli pracownicy naukowi nawet z profesorskimi tytułami. Tych podobno zespoliło z grupami swoiste przerażenie, poczucie niemocy: oto gwałtownie wzbierała fala książek i rozpraw, zmieniano tezy i hipotezy, ale wciąż poznanie ludzkie ogarniało tak stosunkowo małe obszary natury, społecznej rzeczywistości i ludzkiego życia, jego sensu, istoty. Jedyne więc, co szanowali i uznawali za godne wszelkiego wysiłku — to badania i prace nad zmianą klimatu na łagodny, południowy, w którym ludzkie potrzeby znacznie łatwiej zredukować do minimum. Chętnie dawali składki na tego rodzaju badania. Dobrze pracowali w fabrykach i w polu, ale odznaczali się swoistą kapryśnością: często zmieniali miejsce pobytu, czasem opuszczali jakieś przedsiębiorstwo lub wielkie gospodarstwo właśnie wtedy, gdy wykonanie pilnych robót wymagało mobilizacji wszystkich możliwości...

Zapytałem osobnika rodzaju męskiego o hotel. Oznajmił, że to blisko, najłatwiej dojść pieszo, wymienił nazwę ulicy. Ale między miastem a stacją pojawiły się nowe budynki, nazwa ulicy nic mi nie mówiła, wszystko przesłaniało dawną panoramę, nie chciałem zaś prosić o dodatkowe wyjaśnienia w tym prawie rodzinnym mieście — czułbym się zbyt głupio, wyjaśnienia jakoś mnie poniżałyby, więc wsiadłem do taksówki, wymieniając nazwę hotelu. Pewny, że odległość jest rzeczywiście znikoma, poprosiłem kierowcę, aby pokazał mi nową dzielnicę mieszkaniową, wiadomo bowiem, że wszędzie, na taką czy inną skalę, są nowe dzielnice mieszkaniowe, o których zresztą nic poza tym nie da się powiedzieć.

Dopiero po kwadransie taksówka zatrzymała się przed kilkupiętrowym hotelem.

Zapłaciłem, wysiadłem, przez obrotowe drzwi wszedłem do hallu.

— Chciałbym dostać pokój z prysznicem, k...mać!

— Zostały tylko bez prysznica. k...mać... — poinformowała starsza siwa pani z recepcji.

— Niech będzie choć taki, k...mać!

Myślałem, że pójdę odwiedzić przede wszystkim Helenę, której zaufanie kiedyś chyba zawiodłem, wykorzystując pretekst, jakim był ów Henryk. Tak myślałem od paru lat. Gdy człowiek się starzeje i gdy na nic nie ma rady, to zaczyna przetrząsać swoje dawne sprawy Chyba i to wpłynęło na przedsięwziętą podróż do tego miasta.

Po niejakiej zwłoce udałem się do restauracji, by zaaplikować swojemu organizmowi przepisaną ilość kalorii. Ponieważ w jadłospisie zabrakło już pewnych dań, przeto brakującą ilość kalorii — a przy każdym daniu obok ceny uwidaczniano kaloryczność, co było niekiedy reklamą czegoś niesmacznego — uzupełniłem przy pomocy setki wódki.

Na chwilę rozszumiały się sady na przedmieściach, kryjące wśród liści jabłka i gruszki, wiatr rozkołysał wodę, pojawiły się fale z białymi kryzami, miasto wydało się bliższe, milsze.

Nie, po cóż mi iść do Heleny! Ona ma prawdopodobnie swoją rodzinę — owemu Henrykowi chodziło tylko o przelotny romans — ja mam swoją. Po co skracać tę cenną chwilę po setce?! Po co wracać do czegoś, czego odrobić się nie da?! Zwłaszcza, iż nic w tej sprawie — podobnie jak i w niektórych innych — nie było jasne lub przynajmniej uchwytne.

Trochę połaziłem po nowych ulicach i uliczkach, by przekonać się o zaszłych zmianach, prędko jednak zacząłem mieć tego dosyć, ruszyłem w stronę starego rynku. Z daleka ujrzałem dwie odnowione, lśniące pozłotą attyki zabytkowych kamieniczek, co mnie tak bardzo ucieszyło i z tego względu, iż miałem ze sobą aparat fotograficzny, robiący kolorowe zdjęcia.

Dojście na przełaj do kamieniczek tarasował jednak nieduży, skupiony w grupach, tłumek.

Na coś gapiono się z wyjątkową koncentracją. Przeważała młodzież, obwieszona różnymi wisiorkami i brzękadełkami, niektórzy mieli dzwonki u szyi podobnie jak krowy na górskich łąkach. Ach, to pewnie jacyś spośród tych, których przywódca dwa lata temu usiłował wraz ze swoją koleżanką nago bytować w Puszczy Białowieskiej. Nie doczekał się jednak zimy, jeszcze wczesną jesienią spróbował przeskoczyć z gałęzi jednego dębu na gałąź drugiego, rosnącego zupełnie obok, ale zawiodła go, musiał zawieść, wmówiona w siebie wiara w chwytność kończyn dolnych. Choć nie było wysoko, spadł na ziemię tak nieszczęśliwie, że doznał wielu złamań i podobno jeszcze dotąd przebywa gdzieś w ośrodku rehabilitacyjnym, jego zaś koleżanka dawno go opuściła, wyszłą wcale dobrze za mąż za poetę, który układa wiersze-nie-wiersze z rozmaitych rysowanych przez siebie samego elementów graficznych, urozmaiconych słowami lub tylko sylabami. Uchodził za wynalazcę „rytmu dla oczu", powoływał się na morze, gdy jest prawie spokojne, jednak zmarszczkom powierzchni jego zarzucał zbytnią monotonność i naturalność.

Przecisnąłem się wreszcie, żeby zobaczyć co było przyczyną zgromadzenia się tylu osób, ich dość skupionego zainteresowania.

Właściwie nic nadzwyczajnego. Tyle tylko, że działo się to pewnie po raz pierwszy w naszym kraju, a może i nie tylko w naszym czyli przysługiwałoby nam jeszcze jedno pierwszeństwo, które tak lubimy. Oto dwoje młodych zwarło się publicznie w akcie kopulacyjnym. Miejsce — stary rynek — mogło także mieć swoją wymowę. Nie będę tutaj opisywał tej dość znanej czynności. Muszę jednak zauważyć, że on, wykonując ruchy frykcyjne, twarzą nie był zwrócony ku niej, ale ku widzom, to w prawo, to w lewo — jak gdyby dokonywał tego na żądanie publiczności lub wzrokiem szukał u niej akceptacji. Tylko podczas szczytowania byli na krótko oddani sobie, stali się wyłącznością.

Przyglądano się temu w milczeniu. Nie słyszało się ani pocmokiwań, ani wulgarnych słów komentarza lub zachęty do większej żwawości, ani nawet kwiczenia, jak to nadal dzieje się w naszych kinach. Chwila była bądź co bądź osobliwa Publicznie dokonano tego po raz pierwszy. Użyteczność tej kamiennej, szerokiej ławy na pobrzeżu starego rynku od dziś się wzbogaciła.

Kiedy było po wszystkim, a dziewczyna i chłopak doprowadzili swoje stroje, brudne zresztą, do porządku, zwyczajnie stając wśród innych — wskoczył na ławę jakiś starszy pan i zaczął radośnie wykrzykiwać:

— Nareszcie, nareszcie! Sprawy seksu przestały być tabu!

Ciężki idiota, pomyślałem o nim z niesmakiem, ale na wszelki wypadek także go oklaskiwałem.

Starszy pan miał na sobie mocno podniszczone, czarne ubranie o tradycyjnym kroju, dostojność wyglądu naruszała kolorowa koszula o kołnierzyku, zapiętym wysuniętymi różkami na guziki, austriacka czapka z bączkiem z lat pierwszej wojny światowej na głowie.

Potem wskoczył na ławę ktoś młody, wyrzucał ze siebie słowa głosem nieco znudzonym:

— Im mniej tabu, tym większa wolność jednostki, k...mać! Mniej zakłamania, k...mać!

Zamiast oklasków, rozległy się przytakiwania na różne głosy:

— K...mać! K...mać!

Niektórzy wzbogacali je o mechaniczne głosy laleczek, zabawnie wypiskujących te i inne słowa. Ktoś krzyknął:

— Znowu wzrośnie frekwencja w teatrach, k...mać!

Mówca ogłosił ten dzień jako jedyne święto, które odtąd powinno obowiązywać.

Po południu postanowiłem pójść na cmentarz, aby odwiedzić, może po raz ostatni, nie byłem przecież młody, groby dziadka i babki. Był to stary cmentarz, znajdowało się na nim parę nagrobków z nazwiskami, znanymi ongi w kulturze lub w ruchach wyzwoleńczonarodowych. Nasuwał więc wiele myśli o przeszłości i jednocześnie o znikomości, myśli raczej demobilizujących, aczkowiek pożytecznych, bo przestrzegających przed zachłannością, przed budzeniem w sobie pychy i materialnej zdobywczości.

Niestety! Od jakiegoś czasu rozprzestrzeniano hasło: „Cmentarze pod parkingi!".

Należało to do propagandy oschłości uczuciowej, zwanej w prasie racjonalizacją procesów emocjonalnych.

Pierwsze — dopiero teraz sobie o tym przypomniałem — zrealizowało to hasło właśnie moje miasto.

Wielki, wybetonowany parking. Nigdzie ani drzewka. Trzeba było dość długo wymijać to miejsce po cmentarzu, aby dojść do obecnego miejsca spoczynku zmarłych.

Bielało krematorium, budynek o dwóch skrzydłach, którymi były dwie szare, wysokie i długie ściany kolumbarium.

Zatrzymałem się na dłużej, paląc papierosa po papierosie, starałem się przypomnieć sobie mogiły, ocienione tujami, nagrobki i pomniczki, drzewa; bramę, wiodącą na cmentarz, okolony metalowymi, przeżartymi grynszpanem sztachetami; zapragnąłem usłyszeć w sobie głosy dziadka i babki, ale był to za wielki w tych okolicznościach wysiłek imaginacji, w coś jednak wreszcie trochę się wdarłem, zacząłem odczuwać rzewną melancholię.

„Je-łłłop, je-łłłop, k...mać..." — to ktoś z tyłu za mną, tuż nad moim uchem zaskrzeczał przy pomocy mechanicznej laleczki.

Zataiłem w sobie wściekłość, bowiem nie wypadało się obrażać na ten tak wszędzie przyjęty sposób żartowania. Zresztą, również wyciągnąłem z kieszeni laleczkę i odpowiedziałem miłej z wyglądu panience w podobny sposób.

Smętny poszedłem przed siebie na spacer.

Przewędrowałem wiele, nigdzie nie umiejąc się zatrzymać, a raczej nie znajdując ku temu żadnego powodu.

Znowu wzbogaciłem swój organizm o pewną ilość kalorii w postaci setki wódki.

Zapadło słońce, zmierzchało się.

Jakiś mężczyzna, podskakując, obiema rękami coś strzepywał z marynarki. Podobnie śmiesznymi ruchami strzepuje się żarzyste źdźbła tytoniu, gdy nagle spadną z papierosa. Podobnie w dzieciństwie, a i później, opędzało się od pszczół, których teraz niestety z roku na rok ubywa.

Poznałem go. To on stał na tamtej kamiennej ławce i, machając wzniesionymi do góry rękami, radośnie wrzeszczał o przekroczonym tabu.

— Czemu pan tak się cieszyłeś? Zachował pan jeszcze taki perwersyjny temperament, k...mać, że pana ponosi?

— Ja? Pan raczy żartować — podniósł na mnie oczy o pożyłkowanych, zaczerwienionych powiekach.

Nie żartowałem. Jego wygląd, co prawda, nie domagał się właściwie odpowiedzi na pytanie, ale przecież różnie bywa. Tym bardziej przy obecnym rozwoju gerontologii.

A on zaczął przybierać pozę aktora z prowincjonalnej trupy, o których w dawnych powieściach tyle pisano. Przymrużył oczy, prawą rękę wysunął wcale energicznym gestem przed siebie, zaczął recytować:

Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe,
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę.

Wy nie cofniecie życia fal,
Nic skargi nie pomogą!
Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat swoją pójdzie drogą.

— To jakaś cholerna starzyzna, k...mać!

— Cholerna starzyzna, proszę pana, ale i w starzyźnie bywa prawda.

— To pan to spółkowanie na ławie nazywasz sięganiem po nowe życie?

Zaczął mówić śpiesznie i szeptem:

— Miałem, k...mać, tylko rok do pełnej emerytury. Ale wymagałem od młodzieży właśnie znajomości takiej, jak pan słusznie skądinąd orzekł. starzyzny. I na żądanie starszyzny uczniowskiej dyrektor dyscyplinarnie zawiesił mnie w czynnościach. Jeżeli za dwa lata uznają, że się w tym czasie wyraźnie uwspółcześniłem, to mi przyznają prawo do pełnej emerytury.

— Czy mogę wiedzieć, co pan strzepywał z marynarki?

— Biedronki.

— A po co? Przecież biedronka wedle dawnych wierzeń zapowiada dobrą wiadomość.

— Doszedłem do wniosku, że od jakiegoś czasu wśród biedronek prawdziwych latają także biedronki mechaniczne, zdalnie sterowane.

— Taaak?

— A tak, k...mać! Aparaciki odbiorczo-nadawcze w kropeczki!

Staliśmy na wysokim brzegu Wisły, zostały za nami miasteczko i park nad urwiskiem, wśród odległych drzew beczały przenośne telewizory, lśniąc z daleka różnymi kolorami małych ekranów — rzekłbyś, jakieś spotworniałe robaczki świętojańskie.

Byliśmy najprawdopodobniej sami, jednak mój rozmówca nagle się zaniepokoił, zaczął dokładnie rozglądać się w tym zmierzchu przechodzącym już w ciemność, potem nieufnie zapytał:

— Pan, k...mać, nietutejszy?

— Nietutejszy.

— Na pewno?

— Na pewno.

Poprosił o papierosa, dałem mu kilka sztuk, podziękował i bez pożegnania zaczął, na wszelki wypadek, oddalać się ode mnie w kierunku migoczących, spotworniałych robaczków świętojańskich.

Wkrótce i do mnie wiatr doniósł jego radosne wołanie:

— Sprawy seksu przestały być tabu... przestały być tabu!

Więc po co ja właściwie tu przyjechałem? Żeby stwierdzić całkowite zniknięcie cmentarza, o czym dochodziły mnie wiadomości, choć co innego wiadomość, a co innego naoczność? Żeby zobaczyć publiczną kopulację, co odczułem jednak jako obrazę czegoś tam? Żeby zetknąć się z pomyleńcem-nauczycielem, który może wcale nie jest aż takim pomyleńcem, tylko na swój sposób ukrywa się przed innymi?

Powrót do przeszłości sprzed dziesięciu i więcej lat? Za wcześnie, k...mać, by dało się coś uporządkować, czyli czegoś się pozbyć!

A może po prostu źle się czuję w mieście, w którym mieszkam i pracuję? Pod pewnymi względami jest bowiem złudzeniem, że się mieszka w dużym mieście i to oznacza coś innego niż małe miasto, miasteczko. Wszędzie po jakimś czasie z masy ludzi wyłania się krąg znajomych, wśród których ma się sprzymierzeńców i wrogów, ludzi neutralnych i na coś czyhających, czasem następuje wymienność. Nawet krąg nieznajomych staje się w jakiejś mierze kręgiem znajomych. Niektórzy nieznajomi o tej samej porze stoją na przystanku tramwajowym, w tych samych godzinach zaopatrują się w żywność w tych samych sklepach, przez figlarny przypadek zajmują miejsca w pobliżu na trybunach stadionu, powoływani są do tych samych prezydiów.

Są znajomi, z którymi od lat wymieniamy ukłony, a nie zamieniamy ani jednego słowa I są nieznajomi, z którymi — gdy gdzieś znajdziemy się obok siebie — mimowolnie dzielimy się uwagą na temat pogody, bramkarza, źle wypieczonego chleba Wszędzie po jakimś czasie jest się osaczonym.

A gdyby tak co jakieś pół roku zmieniać miejsce zamieszkania? Ale co wtedy z pracą? Przestać pracować, to zaniedbać rodzinę, zaniedbać samego siebie, wytrącić się z miejsca w życiu, które jest obowiązkiem i nie tylko obowiązkiem.

Od jakiegoś czasu zaniedbałem się. Zrozumiałem, że muszę zdobyć się na trochę więcej powszedniego heroizmu, bo inaczej zacznę opadać. Odtąd ani kroku do tyłu! Nie wolno!

Wracałem do hotelu z postanowieniem, że nazajutrz wyjadę najwcześniejszym pociągiem. To właśnie i przede wszystkim w tym mieście nie ma dla mnie miejsca.

Na ulicy podeszło do mnie dwóch dryblasów:

— Panu pewnie, k...mać, coś się nie podoba?!

Najwyraźniej chcieli podstawić mi nogę żebym potknął się i upadł. Ale wcześniej, jeszcze w recepcji, uprzedzono mnie, że od jakiegoś roku podstawianie nogi przechodniom zostało tutaj zwyczajowo zaakceptowane. Uniknąć tego można tylko udając podobną agresywność, chociaż łączyło się to z ryzykiem.

Cofnąłem się tyłem do ściany jakiejś kamienicy.

— Do mnie ta mowa, k...mać! — krzyknąłem. — Ja wam, k...mać, nogi z dupy powyrywam! — i znacząco prawą ręką sięgnąłem do kieszeni spodni.

Udało się. Mięczaki. Przeprosili i poszli przed siebie.

Znowu zaczęły rozwijać się chmury kłębiaste, wystąpił przelotny opad czyli — jak ongi mówiono — zaczął padać deszcz: równy, ciepły, odświeżający powietrze.

TEORIA I PRAKTYKA

MAREK JAMER

STUDENT W FABRYCE

Zbliża się sesja letnia, a później wakacje. Spotkałem niedawno kolegę z niższych lat Politechniki.

Ty masz dobrze, mówię. Masz trzy miesiące wakacji, a ja już tylko 20 dni roboczych. A on mi na to, że wcale nie trzy miesiące, bo ma praktyki wakacyjne. Ale, mówi, nie powinno być źle. Nasi poprzednicy w zakładzie, w którym mam praktykę, nigdy nie siedzieli dłużej niż do 10.00, a potem szli na basen.

Przypomniałem sobie moje praktyki. W czasie gdy rozpoczynałem studia, na naszym wydziale obowiązywała praktyka semestralna. Od 1 września do końca stycznia chodziliśmy na 6.00 rano do pracy. W trakcie studiów miałem jeszcze sześciotygodniową praktykę technologiczną oraz praktykę dyplomową. W zakładach traktowano nas jako zło konieczne. Im mniej nas było widać, tym lepiej. Mogliśmy być jedynie obserwatorami. Z prac pozwalano nam jedynie na nieskomplikowane czynności typu sprzątanie czy przenoszenie złomu z jednego miejsca na drugie. Jasne jest, że po pewnym czasie przyjęliśmy rolę, w jakiej nas po cichu chciano widzieć. Przestaliśmy się pokazywać w zakładzie, urywaliśmy się na basen czy do kina. W efekcie niewiele się nauczyliśmy, niewiele zarobiliśmy, niewiele wypoczęliśmy. A więc w pewnym sensie czas stracony. Wśród studentów, przynajmniej wtedy, panowało ogólne przekonanie, że praktyki nie służą niczemu. A już na pewno nie temu, aby się czegokolwiek nauczyć.

I nie sądzę, aby obecnie przekonanie to uległo radykalnej zmianie. A przecież w zakładach pracy można się wiele nauczyć, można zapoznać się w praktyce z tym, o czym dowiedzieliśmy się na wykładach. Można w końcu skonfrontować wiadomości teoretyczne z rzeczywistością i problemami, jakie stwarza. Dlaczego więc z tego nie korzystamy? W pewnym stopniu jest to na pewno wina studentów. No bo jak ktoś nie chce się uczyć, to nikt go do tego nie zmusi. Wina zakładu pracy i opiekunów praktyk z ramienia uczelni polega natomiast na tym, że nie starają się zachęcić studentów do nauki.

W czasach, gdy praktycznie każdy przeciętnie zdolny młody człowiek może dostać się na studia, a po ich ukończeniu dostanie bez problemu pracę, a więc gdy nauka przychodzi łatwo, maleje naturalny pęd do wiedzy. I właśnie dlatego trzeba ludzi do nauki zachęcać. Można to robić, i, niestety, często się to tak robi, przy pomocy zegara i kart zegarowych. Ale kartę może podbić kolega za kolegę. Można by było jeszcze przydzielić każdemu studentowi strażnika. Ale nie zdopinguje to nikogo do nauki.

Sprawdzanie zdobytych wiadomości także pozostawia wiele do życzenia. Dzienniczki wypełnia się zazwyczaj raz na tydzień, hurtem, odpisując jeden od drugiego. Sprawozdania z praktyk powstają w podobny sposób. A już egzamin końcowy jest czystą kpiną. Z góry wiadomo, że wszyscy muszą go zdać.

Efekt jest taki, że w zakładzie praktykanci starają się być jak najkrócej. Jeżeli już portier utrudnia im życie i muszą przesiedzieć swoje godziny, to wiadomo, że też im to niewiele da. Połażą trochę, pogapią się, a potem zaszyją gdzieś w kącie, aby pospać, pograć w karty, pogadać. Czasem na terenie zakładu znajdzie się ustronny kącik, w którym można się nawet poopalać.

Z punktu widzenia zakładu, lepiej, jeżeli praktykantów w ogóle nie ma. Zakład ma plany, ma kłopoty z kooperantami, z dostawcami, wreszcie z własną załogą. A tu jeszcze trzeba pilnować, aby jakiś student nie włożył ręki tam, gdzie by mu mogło ją urwać, czy też żeby nie dorwał się do czegoś, co mógłby zepsuć. I jeszcze do tego trzeba sprawdzać, czy praktykanci przychodzą do pracy, czy wypełniają dzienniczki, czy mają gdzie zjeść drugie śniadanie. Same kłopoty.

A gdyby tak system praktyk trochę unowocześnić? Przecież najlepszą drogą do poznania maszyny, organizacji produkcji, mechanizmów działania zakładu, jest wykorzystanie ich do rozwiązania konkretnego problemu. Bo łażeniem i oglądaniem znudzimy się po trzech dniach. A gdyby tak każdy student lub kilkuosobowa grupa dostali do rozwiązania zadanie, które trzeba rozgryźć w czasie trwania praktyki? I to nie tylko teoretycznie, ale także z wykonaniem prototypu, lub z wdrożeniem do produkcji. Przecież robiliby to pod czujnym okiem opiekuna, który nie dopuszczałby rozwiązań złych, mogących przynieść straty. Studenci, zwłaszcza ci z lat starszych, posiadają duży zasób wiadomości, który można by wykorzystać z pożytkiem dla zakładu i dla nich samych. A w zakładzie pracy istnieje wiele problemów, na których rozwiązanie nie zawsze starcza czasu. Jak ja to sobie wyobrażam? Ano, na przykład w którymś z działów trzeba postawić stojak, np. do składowania blachy. Rozwiązaniem tego problemu może zająć się praktykant. Musi taki stojak zaprojektować, policzyć, aby się nie zawalił, opracować proces technologiczny, dopilnować prawidłowości wykonania i montażu, wreszcie sprawdzić w praktyce co sknocił i ewentualnie poprawić. Przykład może trywialny, ale widziałem podobną konstrukcję, dzieło młodego inżyniera, która gięła się we wszystkie możliwe strony. A jeżeli tematem nie będzie stojak, a problem rozwiązania instalacji alarmowej, sterowania czy czegoś tam jeszcze? Przecież może to nawet być praca o charakterze badawczym, realizowana w ramach prac placówek naukowo-badawczych czy instytutów wyższych uczelni. Nie należy bać się powierzenia młodym trudnych zadań. Bo nawet, jeżeli nie osiągną sukcesu, jeżeli nawet ich działalność przyniesie straty, to jednak zasób wiedzy, jaki sobie przyswoją, w przyszłości odda z nawiązką poniesione koszty. A za rozwiązania dobre, takie, które wejdą do produkcji lub w inny sposób dadzą efekty ekonomiczne, można by przyznawać ich twórcom premie. Ciekawy problem, obawa przed kompromitacją, perspektywa dodatkowego zarobku, na pewno zdopingowałyby praktykantów do pracy. A każdy przyzna, że najlepiej uczymy się rozwiązując konkretne problemy. Drugim zagadnieniem jest sprawa większej możliwości wyboru zakładu, w którym mamy odbywać praktykę. Lepiej się pracuje tam, gdzie się chce pracować, niż tam, gdzie się musi. No i jeszcze kwestia liczby praktykantów w jednym zakładzie. Łatwiej jest zorganizować pracę w mniejszej grupie. A duża, dobrze zorganizowana grupa łatwiej może się wymknąć spod kontroli i jeżeli zechce wagarować, to nie bardzo jest jak jej w tym przeszkodzić.

Nasuwa się pytanie, kto ma zająć się reformą praktyk? Duże pole do popisu mają tutaj koła naukowe, istniejące prawie na każdym wydziale. Ale bez współpracy z przedstawicielami zakładu pracy i uczelni niewiele zdziałają.

Do rozpoczęcia praktyk pozostało jeszcze trochę czasu. Jest więc szansa na poprawę sytuacji praktykantów już w tym roku.

Fot. Z. Abratkiewicz

Fot. Paweł Duraj

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

EWA OSTROWSKA

Fot. Włodzimierz Parys

Ewa Ostrowska urodziła się 24 grudnia 1938 r. w Nowo Wilejce koło Wilna. Studiowała socjologię w Uniwersytecie Łódzkim.

Wcześnie, bowiem już pod koniec lat pięćdziesiątych, rozpoczyna działalność publicystyczną i dziennikarską, współpracując z prasą łódzką i ogólnopolską. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, ściślej związana z „Odgłosami", publikuje w nich reportaże, fragmenty prozy, opowiadania, recenzje literackie. W roku 1964 uzyskała wyróżnienie w konkursie ogłoszonym przez „Fakty i Myśli" oraz Wydawnictwo „Iskry" na reportaż o tematyce światopoglądowej i obyczajowej. W trzy lata później otrzymała nagrodę „Argumentów" w konkursie pod nazwą „Ateizm — klerykalizm — laicyzm w roku millenium".

W roku 1965 wydany został nakładem Wydawnictwa Łódzkiego zbiór opowiadań „Tort urodzinowy", będący debiutem książkowym pisarki. W latach następnych ukazały się powieści: „Pierwszy dzień tygodnia" (WŁ 1966), „Ptaki na niebie" (WŁ 1968), „Nim jabłoń zdziczeje" („Czytelnik" 1968), „Gdzie winą jest dużą..." („Czytelnik" 1970), „Między nami niebotyczne góry..." („Czytelnik" 1974). W swoim dorobku Ostrowska posiada również powieść — bajkę dla dzieci „Przygody króla Gucia i króla Maciusia" (WŁ 1972, wyd. 2 — WŁ 1974), w której dowcipnie i atrakcyjnie konstruowana fabuła, ujęta klarowną, potoczystą narracją, obok warstwy przygodowej prezentuje baśniowy świat marzeń dziecka i służy zilustrowaniu prawd ogólniejszych natury moralnej i dydaktycznej.

Opowiadania zawarte w „Torcie urodzinowym" wyrastają niewątpliwie z reporterskich obserwacji i doświadczeń autorki. Ich poetyka posiada zresztą wszelkie cechy zbeletryzowanego reportażu. Gdyby szukać jakiejś nadrzędnej formuły wyjaśniającej choćby w przybliżeniu intencje i zamiary Ostrowskiej, tak jak one dają się odczytać ze zbioru, najtrafniejszą zapewne można znaleźć w tytule jednego z opowiadań: „Rekonstrukcje pejzażu". W ujęciu pisarki pejzaż to ściśle współczesny, choć uwarunkowany przeszłością, prowincjonalny lub wielkomiejski, środowiskowy lub rodzinny, oglądany z reguły oczami bohaterów opowiadań, niezależnie od przyjętej gramatycznej formy narracji. Barwy pejzażu są ciemne, przygnębiające, ponure. Prowincja jest wciąż jeszcze siedliskiem obskuranckich reliktów przeszłości lub już zdominowana została przez reprezentujących konsumpcyjny styl życia miejscowych dorobkiewiczów i dygnitarzy. Kołtuństwo, indyferentyzm moralny, fałsz i zakłamanie członków tzw. solidnych rodzin, obyczajowe „dno" — to elementy pejzażu miejskiego. Nie przeczy pesymistycznej wymowie „Tortu urodzinowego" fakt, iż młodzi bohaterowie wielu opowiadań przeciwstawiając się złu odnoszą swe małe zwycięstwa i w dążeniach do zmian znajdują poparcie innych, że indywidualne działanie aktywizuje grupę, środowisko. Widać bowiem w tych utworach zbyt silnie akcentowaną tezę publicystyczną. Są natomiast w debiutanckim tomie opowiadania, w których demaskacja i potępienie zła tkwiącego w ludziach, w stosunkach społecznych, w obyczajach dokonuje się immanentnie, tylko poprzez przedstawienie faktów i relację o nich; opowiadania, w których brak optymistycznej perspektywy, ale które przepojone są takim ładunkiem ciepła i współczucia dla człowieka — dziecka, młodej dziewczyny, starca — że mogą być odczytane jako nieśmiałe, lecz żarliwe wyznanie wiary w humanistyczną treść życia, w możliwość zmiany człowieka.

Jest to szczególnie widoczne w nowelach podejmujących temat rodziny i stosunków wewnątrzrodzinnych. Ostrowską interesują głównie konflikty między pokoleniami, małżeństwa nieudane, rodziny rozbite wskutek braku więzi uczuciowej. Wyjątkowo uwrażliwiona na los dzieci i starców („Sprzedająca kwiaty"), jako najbardziej zależnych od otoczenia i najsilniej odczuwających potrzebę opieki i uznania, pisarka z niezwykłym realizmem odtwarza sferę psychiki dziecka, budującego swój własny wyimaginowany świat, ową „krainę czarów", która przecież i tak nie zabezpiecza przed okrucieństwem zwyrodniałej matki („Anna w krainie czarów"). W innych opowiadaniach młode dziewczęta, dostrzegając zakłamanie i obłudę rodziców, dotkliwie odczuwając swą inność i osamotnienie w rodzinie, w szkole, szukają rekompensaty w marzeniu o innym, szczęśliwym życiu lub próbują włączyć się w nurt działalności organizacyjnej. W obu przypadkach jest to tylko namiastka, pozór zadośćuczynienia za nieudane dzieciństwo, za brak uczucia i prawdy w domu rodzinnym.

We wszystkich późniejszych powieściach Ewa Ostrowska kontynuuje tematykę „rodzinną", podjętą w „Torcie urodzinowym". Jest pisarką jednego właściwie tematu. Tworzy swoistą sagę rodzinną, w której nawet przy różnorodnej fabule poszczególnych powieści zawsze głównym bohaterem i narratorem jest kobieta lub dorastająca dziewczynka i zawsze powraca centralny problem: funkcjonowanie komórki rodzinnej we współczesnym świecie. Co prawda niezbyt konsekwentnie zachowana jest perspektywa punktu widzenia dziecka, ale też świat przedstawiony nie jest światem zamkniętym w czterech ścianach domu, nie dzieje się wyłącznie tu i teraz. Losy swoich postaci, ich postawy i działania umieszcza pisarka w szerokim kontekście przemian społecznych, politycznych, obyczajowych ostatniego trzydziestolecia. Ostrowska śledzi proces wpływów warunków zewnętrznych na psychikę dziecka, szuka uzasadnień mentalności i zachowań człowieka współczesnego w jego przeżyciach z okresu młodości i w jego statusie społecznym, pragnie udokumentować swe przekonanie o niemożliwości pełnego porozumienia między ludźmi, między generacją rodziców i generacją dzieci, między mężczyzną a kobietą. Charakterologiczna ostrość i wyrazistość kreowanych postaci udramatycznia sytuacje, umożliwia określenie podstawowych przesłanek i wyznaczników owego misterium bynajmniej nie arkadyjskiego życia, wśród których miejsce poczesne zajmuje uczucie miłości i z niego wynikające: dobroć, zdolność rozumienia i przebaczania. Brak miłości rodzi infernalny świat wzajemnej udręki, jaki stworzyć mogą jedynie ludzie bliscy sobie pokrewieństwem czy też mieszkający pod wspólnym dachem.

„Pierwszy dzień tygodnia" jest powieścią o jednym dniu z życia inteligenckiej rodziny, długim dniu, gdyż złożyły się nań wszystkie poprzednie dni i lata. W domowym kręgu sześcioosobowej rodziny, obejmującej trzy generacje, toczy się życie pełne napięć, konfliktów, wzajemnych pretensji, urazów, rozczarowań, upokorzeń. Każda z osób dźwiga mniej lub bardziej ciężki bagaż doświadczeń. Wszyscy mieli lub mają swoje ideały, marzenia, tęsknoty. Wszyscy jednakowo ponoszą klęskę i wszyscy wciąż na nowo mają nadzieję, choćby cień nadziei. Najmłodsza Iwona musi jednak opuścić baśniową krainę dobra i przekroczyć próg świata dorosłych, nestorce rodu pozostaje już tylko spokój rezygnacji — obie skrzywdzone są najmocniej. Życie jest procesem pozbywania się złudzeń — zdaje się mówić Ostrowska.

W „Ptakach na niebie" matka Ani będąc jeszcze dzieckiem przeżyła w czasie wojny egzekucję swojej matki, oglądaną w całej swej grozie z okna domu. Moment ten zdecydował o całym jej przyszłym życiu. Pragnie więc obecnie uchronić córkę przed poznaniem okrucieństwa i prawdy życia. Próżne są jednak jej starania. Pod wpływem literatury, lekcji i wycieczek szkolnych, a także z niedomówień matki, z osobistych obserwacji Ania obsesyjnie odtwarza straszliwy „kamienny świat" wojny, wcześniej już utraciwszy wiarę w istnienie świętego Mikołaja.

W dylogii „Nim jabłoń zdziczeje" i „Gdzie winą jest dużą..." Ostrowska tworzy panoramę dziejów rodu Horotyńskich, pisze najpełniejszą, najbardziej bogatą w realia i analizy charakterologiczne postaci sagę rodzinną. Nie sposób w kilku słowach naszkicować złożonej problematyki dylogii. Obie powieści zasługują na oddzielne studium. Wypada jednak zaznaczyć, że i tu zasadniczym wątkiem są koleje życia młodej dziewczyny od momentu jej przybycia wraz z repatriowaną rodziną z podwileńskiego Landwarowa do warmińskiej Ornety, do czasu powrotu do niej po dziesięcioletnim pobycie w Łodzi. Okres dojrzewania głównej bohaterki powieści jest równocześnie okresem zdobywania najbardziej gorzkich doświadczeń. Gdy nadchodzi wreszcie chwila powrotu do pielęgnowanej w pamięci, wytesknionej krainy dobra i szczęścia, okazuje się, że nie jest możliwy powrót do szczęśliwego dzieciństwa.

Wydana w 1974 r. powieść „Między nami niebotyczne góry..." jest studium psychologicznym kobiety uwikłanej w małżeństwo, w którym uczucie miłości zanikło i przeobraziło się w swą odwrotność — w nienawiść. Poddany laboratoryjnej analizie proces narastania nienawiści i odrazy do męża uderza autentycznością i prawdziwością reakcji psychicznych. Ostrowska wykorzystała wszystkie swe — niepośledniej miary — umiejętności warsztatowe oraz znajomość psychiki kobiety i napisała powieść nie tylko cenną artystycznie, ale odznaczającą się szczególnymi walorami poznawczymi na tle całej jej wartościowej twórczości.

STANISŁAW MAJCHROWSKI

REPORTAŻ

RYSZARD BINKOWSKI

ZAPACH MIASTA

Fot. Archiwum

2.

Jak wszędzie, dzwonią bańki z mlekiem, i pachnie świeżym chlebem. Zaopatrzenie dobre. A jeśli wolno dotknąć tabu, sklepy mięsne bez nagich haków, skupiny ludzkie też niewielkie.

Głównymi ulicami — Górnośląską, Poznańską, Częstochowską, Alejami Wojska Polskiego — pędzą czerwone autobusy. Trzeba przewieźć tysiące ludzi do biur i fabryk, na budowy. W 1945 roku Kalisz liczył 45 tysięcy mieszkańców, dziś 83 tysiące i pod względem liczby ludności znajduje się na pierwszym miejscu (poza Poznaniem) w Wielkopolsce.

Dużo młodzieży, teraz mniej widocznej, bo matury. Co trzeci mieszkaniec uczy się. 20 szkół podstawowych, 3 licea ogólnokształcące, 12 zasadniczych szkół zawodowych, 11 techników i liceów zawodowych, 2 szkoły artystyczne, Studium Nauczycielskie. Wieczorem nauka w szkołach dla pracujących: 1 podstawowej, 2 liceach ogólnokształcących, 9 technikach i liceach dla pracujących. Aby stworzyć jak najdogodniejsze warunki do pobierania nauki, zbudowano całe zespoły nowych gmachów, na przykład dla Studium Nauczycielskiego, Szkoły Pielęgniarstwa i Liceum Medycznego, Technikum Włókienniczego, Zasadniczej Szkoły Zawodowej nr 1 i wielu szkół podstawowych.

Ptolemeusz umieścił Kalisz na mapie i wydał miastu najstarszą z miast polskich metrykę źródłową. Ten starożytny kosmograf nie wiedział, że jego wszechwładnie panujący system w czternaście wieków później obali syn ziemi, o której pisał. Ale obaj mędrcy, Ptolemeusz i Kopernik, nie mogli przewidzieć, że Kalisz stanie się miastem ludzi kształcących. Że gdy jedni w teatrze, w młodzieżowym i miejskim domu kultury, w „Ikarze", klubie NOT-u i KMPiK, gdzie bar kawowy, czytelnia i księgarnia, drudzy ślęczą nad podręcznikami, bo miastu potrzebne kadry nowych fachowców.

Pędzą czerwone autobusy, wiozą robotników do fabryk, urzędników do biur, młodzież do szkół. Jezdnie wąskie, ruch coraz większy, ludzie chodzą przez jezdnie, jak przez drogi polne. Tak na placu Bohaterów Stalingradu, Górnośląskiej, Alei Wolności... Pchają się ludziska pod samochody, przecinają skrzyżowania na sagę; sypią się mandaty, ukarani piszą skargi, i nie wiadomo, kto ma rację. Albo też racja leży pośrodku, to znaczy, że w mieście za mało sygnalizacji świetlnej. A jeśli już jest, to zależy jak dla kogo. Zielony fiat rozkraczył się przed skrzyżowaniem. Klaksony grają, cygańska rodzina wysypuje się z komisu i wpada do wnętrza wozu, jak pszczoły do ula. Kierowcy bluzgają ciężko, nastoletni Cygan przycina na skrzypcach i cygańska rodzina startuje w zielonym fiacie odrzutowo, przy czerwonych światłach...

3.

Przed południem pośrodku ulicy Harcerskiej, między zegarem na cokole i szklaną budką MO stanął siwobrody dziadek z ceratową teczką. Rzucił teczkę i szarpie za drzwi budki.

— Dziadku — pyta niewiele młodsza rencistka — a dokąd wy chcecie?

— Ano, chciałbym do czubków — bełkoce dziadek.

— Co? A dlaczego?

— A bo tak żem się spaskudził jakoś i goły jestem. Jak zabiorą, to kobieta nic mi nie zrobi...

Uszargany i z lekka zawiany dziadek wywraca puste kieszenie.

— To czemu pchacie się do milicji — pyta długowłosy młodzian.

— Milicja może też być! — krzyczy dziadek. — Żeby tych spod „Liliputa". co ze mną oni tak, wsadzili!

Okrążony dziadek opowiada o przygodzie pod ‚Liliputem". Dobrze mówi, potakują kobiety, bo pod „Liliputem" źle. Mieszkańcy domu przy ul. Częstochowskiej 6 nie mają WC i chodzą do ubikacji w podwórzu, z której korzystają również i klienci baru, a jak tłok, to siusiają w bramie i po klatkach schodowych. Pojemników na śmieci mało i z barowej kuchni wywala się na podwórze wszelkie odpadki, nad którymi zbiera się wszelkie paskudztwo. Szczury ciągną watahami i gryzą wściekle okoliczne psy podczas bojów o kości czy inne ochłapy.

Tłum porwał dziadka, już samo południe, biją dzwony, w ich głosie ginie warkot silników. Dzwony starych kościołów, cała orkiestra, trochę nierówna, bo niektóre spóźnione ciut, ciut. Wczesnogotycki kościół Franciszkanów z połowy XII wieku, fundowany przez księcia Bolesława Pobożnego, wczesnobarokowy kościół św. Stanisława i św. Wojciecha, kolegiacki z XIII wieku, św. Mikołaja, fundowany przez Henryka Pobożnego po 1253 roku, klasztory...

Pośród zieleni siedzi zasłuchany Adam Asnyk, na dziedzińcu Studium Nauczycielskiego. Maria Konopnicka słucha, jak sprawują się przyszli nauczyciele, w księgarni przy Alei Wolności przedszkolaki słuchają z płyty bajki o krasnoludkach i sierotce Marysi...

4.

Kaliskie Przedsiębiorstwo Budowlane kaperuje do szkoły przyzakładowej. Możesz zdobyć atrakcyjny zawód murarza — tynkarza lub montera instalacji sanitarnych. W drugim roku nauki 600 zł miesięcznie, ubranie robocze letnie, ubranie wyjściowe, kurtka wyjściowa, dwie koszule wyjściowe i buty robocze. Przyjdź, a nie pożałujesz!

Na cmentarzu przy Górnośląskiej groby rodzinne przeładowane do niemożliwości i jeszcze jacyś obcy nieboszczycy podokładani. Tłoczno jak w mieście. Wprawdzie miasto ma się gdzie budować, ale moce przerobowe kuleją. Dlatego ten werbunek do szkoły.

Po wojnie powstały w Kaliszu nowe osiedla mieszkaniowe: im. Juliana Marchlewskiego, Marii Konopnickiej, Kaliniec i Majków.

Okolica dworca PKP i PKS winna być wizytówką miasta i świadczyć o wielkomiejskości. No i stoją piękne wieżowce. Zieleńce, resztki kwitnących jabłoni pod wieżowcami. Młodzież porządkuje zadrzewiony plac między dworcem PKP i ulicą Górnośląską. Łopaty i grabie nie przeszkadzają w wymianie zdań:

— „Włókniarz" nie wejdzie!

— E, tam, gadanie! Remis z „Ostrovią" to nie klęska.

— Ale Konin wyszedł do przodu. Ma lepszy stosunek bramek.

— Ale ja wam mówię, że już jesteśmy w drugiej lidze.

Daj Boże, bo „Prosna" i „Sparta" przegrywają, tylko „Calisia" trzyma się jakoś. Sport ważny w Kaliszu. Pływalnia letnia i zimowa, nowa hala i stadion sportowy, pierwszy w kraju tor kolarski, boiska przyszkolne, sale gimnastyczne, przystanie wioślarskie nad Prosną. W Kaliskim Towarzystwie Wioślarskim jest także restauracja i muszą tam nieźle wiosłować, niektórzy pewnie dopływają do Gdańska, ponieważ Towarzystwo wzywa członków, ażeby natychmiast zabrali pozostawione na przystani klubowej kajaki pod groźbą ich kasacji...

Sport ważny, mieszkania bardziej, chociaż corocznie oddaje się 2 tysiące izb.

Dzielnica Kaliniec zamknięta między ulicami Serbinowską, Górnośląską i Młynarską. Do środka wjeżdża półkolem ulica Barbary i Bogumiła. Ładnie tam, ale noce i dnie nie takie łagodne. Na przykład obok żłobka. Wystające z ziemi druty i złom, garaże, gdzie dokonuje się regulacji gaźników, a pod parkanem „knajpa", z której na teren żłobka wylatują butelki i sprośne słówka. Na dodatek jacyś pijani drwale pościnali scyzorykami drzewka wartości 40 tys. złotych...

Na osiedlach z usługami trochę nie tak, to też nie jest śmieszne, gdy informuje się z pompą, iż przy ulicy Widok 95/12 został uruchomiony osiedlowy zakład usług bytowych dla ludności, czyli prasowalnica elektryczna.

W Kaliszu zmodernizowano i rozbudowano sieć wodociągową i kanalizacyjną, wybudowano gazownię, stację krwiodawstwa i pogotowia ratunkowego, szpital zakaźny. W samym tylko roku 1971 nakłady inwestycyjne wyniosły 640 milionów złotych. Mimo to cieszy choćby ta jedna nowa prasowalnica. Ubaw natomiast daje pan z ul. Bankowej, który ogłosił, że posiada samochód, wolny czas i oczekuje propozycji, po czym złapała go drżączka przedzawałowa, gdyż nie wytrzymał najazdu damskich hord. Płakać można, gdy z winy projektanta oraz inwestorów brakuje wody. Śmiać i płakać jednocześnie, kiedy podczas zaplanowanej akcji odszczurzania, brakuje w sklepach trutek, bo nawaliły odpowiedzialne piony handlowe.

5.

Kalisz stary i nowy. Dawne koszary 8 pułku Piechoty Nadwiślańskiej, którego dowódcą był Cyprian Godebski, i Kaliskie Zakłady Garbarskie „Kolgar"; klasztor kanoników lateraneńskich i Kaliskie Zakłady Przemysłu Jedwabniczego „Wistil", pałac Pułaskich i Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego „Delta".

Robotnicze, włókniarskie miasto. Fabryka Koronek „Haft", „Polo", „Kotona", Fabryka Fortepianów i Pianin „Calisia".

Miasto pracujących kobiet.

Nowe bloki i stare, pocięte odłamkami kamienice przy ul. Kazimierzowskiej, gdzie na postoju taksówek bagażowych drzemią kierowcy we wrakach różnej maści i unikalnych marek. Za Prosną, od Śródmiejskiej — wąskie uliczki w kanionach starych domów. Hałaśliwi śmieciarze, malarz na drabinie, pijalnia piwa (PIWO, BEER), obok blacha z wymalowanym damskim butem, w głębi ciemnego warsztatu siwy, zgarbiony szewc.

Na bulwarach grają tranzystory, pieski i suczki kojarzą pary rencistów, chłopaki pchają się w zieleń, jeden drugiego uczy zaraz:

— A nie chodź, byku, po trawniku!

Babcia w niebieskim fartuchu, powłócząc opuchłymi nogami, nabija na szpikulec śmieci.

Czyste miasto, sprawna organizacja, ład i porządek, grzeczność. Żadnego bełkotu. Na dworcu PKP uprzejmie zawiadamiają o godzinie przyjazdu pociągu, proszą, abyś zachował ostrożność, żebyś wsiadł i życzą szczęśliwej podróży. To nic, że gdzie indziej też tak. Tutaj głos czysty, łagodny, nie znudzony.

Budują coś z silikatowych kostek, wnętrze z gotowych elementów. Plac odgrodzony kolorowym eternitem. Chcesz się dowiedzieć, co to jest, podejdź do tablicy. Pisze, co się buduje, kto inwestorem, kto wykonawcą, niżej podane nazwiska kierownika budowy, kierownika robót budowlanych i inspektora nadzoru, łącznie z adresami i numerami telefonów.

Dla przyjeżdżających autobusami pierwsze zetknięcie się z Kaliszem na nowym dworcu PKP staje się przeżyciem. Przed dworcem zieleń, fontanna, postój taksówek w kwiatach. Plan miasta taki, że odczyta każdy krótkowidz. Wnętrze dworca wyłożone drewnem, palmy w drewnianych donicach, bar ze sprawną obsługą, głośniki w ścianach. Gdy ktoś uprawia partyzantkę, rusza na skos, podchodzi gdzieś od tyłca, w miejscu niedozwolonym, głośniki upominają grzecznie: — Pan z tą walizką w kratkę! Proszę zawrócić! Tak, bardzo dziękujemy.

I tak leci dzień za dniem w Kaliszu, i znów wieczór. Zabawa w „Dorotce", w „Bursztynowej", w „Centralnej" i „Wiarusie" przy ulicy Łódzkiej. Między Prosną i toczącym smętne wody kanałem Rypinkowskim kołują wieczorowe cizie, kręcąc biodrami przed hotelem i restauracją „Europa". Pod lampionami zakochani podpierają kamienne balustrady. Cichnie miasto nad Prosną, owiane mgłą, zapachem wodnej roślinności, aż świt znowu zaróżowi rzeczne fale...

KALISZ

Stolica województwa kaliskiego, utworzonego decyzją Sejmu PRL 28 maja 1975 roku. 85,7 tys. mieszkańców, 26 tys. pracujących w przemyśle włókienniczym, metalowym, instytucjach i urzędach. Znany ośrodek kulturalny. Teatr w Kaliszu powstał w 1835 roku i przez długi czas był związany z działalnością Wojciecha Bogusławskiego. Dziś nosi jego imię.

Kalisz jest najstarszą polską osadą, o której wspominają źródła historyczne. Leżał na szlaku bursztynowym i Calisię wymienia Ptolomeusz w II wieku naszej ery. Prawa miejskie otrzymał Kalisz w 1253 roku.

Dziś jest to silny ośrodek gospodarczy z rozwiniętym przemysłem włókienniczym i metalowym. Produkuje się tu plusz, aksamity, jedwab, a zakłady „Polo" zaopatrują rynek krajowy i zagraniczny w poszukiwane koszule różnego typu. Działa tu znana i ciesząca się dobrą opinią wytwórnia fortepianów i pianin „Calisia". W Winiarach koło Kalisza — fabryka przemysłu spożywczego.

W XIII wieku Kalisz był stolicą księstwa kaliskiego. Ośrodkiem sukiennictwa stał się już w XIV wieku. W czasach Królestwa Polskiego była tu stolica województwa, a następnie guberni. W 1914 roku miasto barbarzyńsko zbombardowały wojska niemieckie. W drugiej wojnie światowej zginęło około 28 tys. kaliszan. Wielu z nich hitlerowcy rozstrzelali w lasach Winiarskich i Skarszewskich.

Od 15 lat Teatr im. W. Bogusławskiego organizuje spotkania teatralne, które cieszą się dobrą opinią w polskim życiu kulturalnym. W spotkaniach teatralnych wielokrotnie nagrody i wyróżnienia zdobywały łódzkie zespoły teatralne i łódzcy aktorzy.

KSIĄŻKA

WYBITNY LEKARZ I PIĘKNA KASZTELANKA

Zaiste ciekawa to była postać — Rafała Czerwiakowskiego, XVIII-wiecznego lekarza polskiego, reformatora medycyny, bulwersującego współczesne mu otoczenie, jak i obecnie żyjących badaczy historii medycyny.

Bo jak można minąć obojętnie postać profesora Akademii Krakowskiej, który stwarzając przed dwustu laty trwałe podwaliny naukowej chirurgii i położnictwa, jednocześnie intrygował miejscowe społeczeństwo swoim afektem do pięknej krakowianki.

Oczywiście nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby nie fakt, że Czerwiakowski był związanymi ślubami z zakonem pijarów. A więc autentyczny romans zakonnika z powabną kasztelanką, o której współcześni pisali, że „tak słynęła ze swej piękności, iż wojażerowie cudzoziemscy, przybywszy do Krakowa, starali się ją poznać".

Dość podstaw, żeby budzić żywe zainteresowanie i dzisiaj, a cóż dopiero w XVIII-wiecznym Krakowie, tak surowym w obyczajach! Kiedy jeszcze dodamy, że ową wybrankę poznał profesor-zakonnik w trakcie wykonywania praktyki położniczej, gdyż był akuszerem, ciekawość czytelnika narośnie do takich granic, iż trzeba go odesłać do świeżo wydanej książki Marcina Łyskanowskiego, która opisuje losy tej miłości. *

Z niej dowiemy się, że Czerwiakowski: „Był pijarem, a nosił się z francuską z peruką, harcapem i szpadą u boku". Jego biografię wplata zręcznie autor w ówczesne, polityczne i społeczne tło Krakowa oraz łączy konsekwentnie, a przy tym udanie, z szeregiem rzeczywistych wydarzeń. Miał bowiem Czerwiakowski nierozerwalny związek z tym wszystkim, co działo się wówczas w Polsce, w Krakowie, jak również w tamtejszej Akademii.

Marcin Łyskanowski, badacz przeszłości medycyny i autor kilku na ten temat książek, stworzył rzetelny obraz epoki, w której żył nasz pijar, ojciec polskiego położnictwa i chirurgii. Zapoznając się z treścią wyszperanych przez autora rękopisów i starodruków oraz prywatną korespondencją Czerwiakowskiego i bliskich mu: Kołłątaja, Śniadeckiego, Trzcińskiego, Hołłowczyca i innych, jesteśmy nie tylko świadkami miłosnych perypetii Czerwiakowskiego, lecz stajemy się zaangażowanymi konsumentami XVIII-wiecznych krakowskich realiów.

Chciałbym napisać, że Łyskanowski odmalował je barwnie, lecz określenie to nie pasuje do realnego opisu miasta zamieszczonego w książce. Posłuchajmy, co na ten temat, według dawnych źródeł, przytacza autor: „Patrzymy na zgrzybiałe przez zadawnienie w rynsztokach ulic plugastwa, przyzwoitego nie mające ścieku, na wyrzucone przed kamienice i przecznice gnoje, na uzbierane błota... na napełnione ludźmi w społeczności szkodliwymi więzienia, na ich łóż barłogi; na płytkie trupów po cmentarzach ścieśnionych chowanie.. na niedokładne grobów kościelnych zamykanie i parujący przez szpary grobowca fetor". Nie jest więc to obraz malowniczy, lecz z pewnością rzetelny.

Oprócz wiadomości o reformatorze Akademii Krakowskiej — Hugonie Kołłątaju i szeregu zwolennikach Komisji Edukacji Narodowej przedstawia autor w bardzo interesujący sposób obraz lecznictwa XVIII-wiecznego, a zwłaszcza położnictwa, znajdującego się w rękach prostych wiejskich bab, których głupota i bezwzględność były przerażające. Ówczesny lekarz, Jan Różański, założyciel szkoły akuszerek w Mohylowie, opisywał np.: „Czasu pewnego widzieć mi się zdarzyło przypadkiem kobietę pewną, która nagle trupem padła". Okazali się „że ją zabiły baby, które jej przy porodzie służyły". Mianowicie, nie mogąc wydobyć dziecka z powodu złego położenia płodu, w największe zimna ją na krzyżowe drogi wywieść kazały i póty ją na owym miejscu wodziły, póki trupem nie padła, tego będąc mniemania, iż takowym wodzeniem dziecię przyzwoite do porodzenia ułożenia odzyskać miało".

Książka jest wzbogacona licznymi wypisami, zaczerpniętymi ze źródeł archiwalnych. Dyskretny i wiążący je komentarz stanowi interesującą i wartościową całość, przede wszystkim ze względów popularyzatorskich. Autor pisze: „Mnogość cytat i przykładów, którymi operowałem w poprzednich rozdziałach, wykazała, jak sądzę, dosadnie i wyczerpująco ogrom nawarstwień przesądów, zabobonów, wstecznictwa i ciemnoty panoszącej się wśród przeważających rzesz ogółu". Łyskanowski ma jakby obawę, że ilością wypisów nuży czytelnika. Otóż należy go z błędu wyprowadzić, gdyż właśnie owe cytaty wraz z umiejętnym powiązaniem określają wartość i urok książki, a czytelnik odczuwa satysfakcję z kontaktu z autentykiem.

Oprócz zasadniczego wątku autor dzieli się szeregiem zajmujących ciekawostek. Barwnie i żywo przewija się galeria ludzi prawdziwie oddanych nauce lub tylko wygrywających własne egoistyczne interesy. Gwiazdą pierwszej wielkości, wśród tych pozytywnych, był Rafał Czerwiakowski, któremu książka jest poświęcona. Jak potoczyło się prywatne życie pijara-akuszera uwikłanego w miłosne perpetie? Odpowiedź jest w książce. Na zakończenie przytoczę tylko cytat z listu Kołłątaja do Szczepana Hołłowczyca z 21 października 1784 roku: „Czerwiakowskim trzymałem do chrztu syna..."

ZBIGNIEW ŁAPIŃSKI

* Marcin Łyskanowski, Testament pijara chirurgii, Warszawa 1974, „Czytelnik", s. 203.

OBYCZAJE

Dalszy ciąg ze str. 1

koce ponieśli ze sobą na najbliższy posterunek milicji.

Funkcjonariusze MO, którzy w chwilę po zameldowaniu zjawili się nad stawem stwierdzili, że pechowi amatorzy grzybów nie przesadzili. Na wodzie, plecami do góry, unosiły się zwłoki trzymiesięcznego dziecka. Ubrane było w rajtuzy koloru niebieskiego i różowy kaftanik, głowę niemowlęcia opinała biała czapeczka.

Tego samego dnia, po południu, do komendy dzielnicowej MO na Bałutach zgłosiła się młoda kobieta. Zeznała, że będąc wdową, powtórnie wyszła za mąż przed rokiem i przed trzema miesiącami urodziła córeczkę. Annę. Z tym dzieckiem poprzedniego dnia była w lesie na grzybach. Nie wie, jak to się stało, że córeczka wpadła jej do stawu. Nie mogła jej ratować, bo z przerażenia zemdlała, a kiedy ocknęła się i podniosła z trawy, dziecko już nie żyło.

W wyjaśnieniach ubranej na czarno kobiety tyle było niejasności, że mimo współczucia milicjanci zdecydowali się ją zatrzymać. Odszukano także mieszkającego w Aleksandrowie ojca małej Ani, który jeszcze nie wiedział o wypadku. Powiedział on wówczas:

— *Uważam, że żona celowo pozbawiła dziecko życia, żeby zrobić mi na złość.*

Wyjaśnił także, że miał jechać z żoną do wsi Żaosie, do jej rodziny, aby omówić sprawę chrzcin, które chcieli połączyć ze ślubem kościelnym. Ale przed wyjazdem posprzeczali się. Zrzucił na ziemię kubek z mlekiem i pojechał motocyklem do pracy, do Łodzi. Po powrocie żony nie zastał, sądził więc, że udała się pociągiem do Zaosia. Tam jej także nie było. Nie znalazł jej także u krewnych w Ujeździe, ani w mieszkaniu łódzkim, gdzie przenosili się na zimę, bo oboje pracowali w Łodzi. Po powrocie do Aleksandrowa zauważył w kredensie brak obrączki i trzech tysięcy w gotówce, które przeznaczone były na chrzciny. Zameldował o tym na posterunku MO.

Następnego dnia, w niedzielę, znów pojechał do łódzkiego mieszkania. Żony dalej nie było. Wrócił więc do Aleksandrowa i od swej matki, która mieszkała po sąsiedzku dowiedział się, że Kazimiera wstąpiła do niej ubrana w czarny kapelusik i czarne rękawiczki. Była, ale pojechała już do Łodzi.

Rusza w ślad za nią. Od sąsiadki w Łodzi dowiaduje się, że żonę widziano, ale wyszła gdzieś wraz z siostrzenicą. Nie mogąc się doczekać jej powrotu, jedzie do Aleksandrowa. Po drodze wstępuje jeszcze do wspólnych znajomych na Żabieńcu, którzy jednak nie widzieli tego dnia Kazimiery. O zatrzymaniu jej dowiaduje się dopiero od milicji.

W parę dni później otrzymuje list: *„Kochany Mężu.*

Na wstempie mego pisania zawiadamiam Cię że siedzę w więzieniu na Kraszewskiego mężulku najsłodszy, najkochańszy najsłodszy bardzo żałuję że tam poszłam i tak się stało ja już dostaje głupoty nie moge spać ani jeść i chodzę jak cień mężu kochany tylko mi napisz i chciałabym się z tobą zobaczyć mężu kochany idź do mojego prokuratora i proś o widzenie ze mną. Bo ja chcę się dowiedzieć jak z tym mieszkaniem czy ty się będziesz opiekował.

Mężulku kochany ja pisze to łzy mi zalewają oczy i ni moge pisać i dostaje zaniku i pisze jak głupia mężulku kochany żegnam Cię i całuje Cie jak najgoręcej i najczulej i pozdrów całą rodzinę.

Mężu kochany tylko napisz i staraj się o widzenie bo ja chyba umrę z żalu i tęsknoty mężu żegnam Cię i mocno całuje Poldziulku kochany ja tego chyba nie przeżyje Poldziu kochany, najsłodszy i najdroższy. Żegnam Cie i gorąco całuje nigdy nie zapomne ja cie nawet na sekunde Twoja żona".

Otrzymawszy to rozpaczliwe pisanie Hipolit Ł. prosi prokuratora o widzenie z żoną. Wkrótce dostaje list następny.

„Kochany Poldziulku.

Na wstępie mego pisania mile i serdecznie Cię pozdrawiam. Otóż Poldziu, jak Ci wiadomo że ja spędzam ciężkie i bardzo ciężkie chwile i nie mogę to sobie uprzytomnić jak to się wszystko stało chodze jak obłąkana bo co najdroższe w moim życiu utraciłam i nie mogę sobie darować tego jak to się stało ani spać ani jeść nie mogę a co to mnie za nieszczęście spotkało czy też przeznaczenie w moim życiu. Poldziu śnisz mi się w noc i moja najdroższa Anusia też mi się śni stale mam ją przed oczami moje najdroższe skarbulki chyba ja tego nie przeżyję strasznie mnie boli głowa i mam straszny szum w głowie. Poldziu czy znalazłeś te pieniądze tam muszom być jak Ci muwiłam Poldziu jak pobrałeś pieniążki z mego Zakładu i te co były w domu, to sobie ureguluj dług co muwiłeś że zapożyczyłeś.

Poldziu nigdy nie miałam na myśli że ja w swoim życiu będę w więzieniu.

Poldziu jeśli będzie możliwe to poproś mojego Pana Prokuratora żeby Ci dał widzenie zemną bo mam ważną sprawę żebyś mi to załatwił a pragnęłabym się z tobą widzieć chyba mi tego nie odmuwisz. Poldziu kochany jak ty tam żyjesz i jak ci ten czas leci i jak mamusia z dziadkiem i z dziećmi pozdrów ich ode mnie. Poldziu bardzo Ci dziękuję za paczkę odzieżową i żywnościową, czy ty byłeś wtedy z tą paczką czy to Lodka. Poldziu Kochany na tym kończe to pisanie gorąco Cię całuje nigdy nie zapomne o tobie Kazia.

Żegnam Cię Poldziu ze łzami w oczach wybacz że tak bo od płaczu nie mogę się ukoić. Poldziu przyślij mi zdjęcie tego mojego aniołka najdroższego. Pozdrów wszystkich ode mnie. Proszę o szybki odpis".

KONRAD FREJDLICH

DZIURAWIEC

W aktach sprawy zachował się jeszcze jeden list napisany przez Hipolita Ł. do żony, który także warto zacytować:

„Ja chciałem zrobić dla małej „Ani" pomnik, ale na razie nie mogę się wyrobić, bo z PZU nie otrzymałem jeszcze ani grosza a dlatego że nie byłem w Łodzi zameldowany to jeszcze potrwa a jak długo to nie wiem. Kaziu, gdzie ty te pieniądze położyłaś to mi powiedz, bo 1200 złotych dałem już zadatku na pomnik i bym jeszcze wpłacił w marcu pomnik był by zrobiony i jeden ból z głowy by spadł.

Dlaczego człowiek był taki głupi i się ożenił przecież jak byłem wdowcem to miałem zupełnie dobrze i niczego mi nie brakowało. A że nie chciałem żeby o tobie ktoś mówił źle to się pobraliśmy i ty sama mówiłaś, że się wstydzisz ludzi a po drugie że cię kochałem, na tym kończę to moje bazgranie i czekam na odpowiedź zawsze w pamięci łysy poldek".

Cytuję to wszystko tak obszernie dlatego, że podobnych przykładów sztuki epistolarnej nie znajdziemy w żadnym przekazie literackim. Literatura wszystko upiększa podczas gdy tu, przez swoją chropowatość i nieporadność, wszystko zdaje się rozpaczliwie szczere i prawdziwe, niemal tragiczne. A jednak ten bezbrzeżny ekshibicjonizm w zestawieniu z faktami okazuje się maską, a nieporadność chłodną, choć prostacką kalkulacją.

22 stycznia 1971, na parę tygodni przed otrzymaniem listu od męża, Kazimiera Ł. przyznała się przed prokuratorem, że rozmyślnie pozbawiła dziecko życia.

— *To wszystko, co zrobiłam, to przez męża, który mnie do tego namówił.*

Nie należy oświadczenia tego traktować dosłownie. Kazimiera Ł. ma po prostu na myśli postępowanie męża, które skłoniło ją do targnięcia się na życie dziecka.

Tego dnia, stwierdziła, gdy pokłócili się, mąż kazał jej życie odebrać sobie i dziecku, bo jego nic nie obchodzi. Już gdy była w ciąży stał się do niej uprzedzony, bił ją i maltretował. Zdecydowała się więc wyjść z domu do lasu za Aleksandrowem, wzięła duży pled i dwa flanelowe kocyki, w które zawinęła dziecko, miała ze sobą torbę nylonową i siatkę, gdzie ukryła butelkę z mlekiem. Do Adamowa udała się taksówką, zapłaciła za kurs 40 złotych, potem weszła do lasu i zbierała grzyby. Było to we wczesnych godzinach popołudniowych, pod wieczór udała się nad staw z zamiarem popełnienia samobójstwa wraz z dzieckiem. Ale kiedy dziecko było już martwe, ocknąwszy się z odrętwienia, Kazimiera Ł. wstała z trawy i autobusem PKS wróciła do Łodzi.

Tam spędziła noc i ubrawszy się w żałobę odkręciła kurki gazowe. Tak zastała ją siostrzenica, która zamknęła dopływ gazu, pozamykała okna i zaprowadziła ją do bałuckiej komendy MO. Kazimiera Ł. wyznała również, że siostrzenicy swojej przekazała obrączkę i zegarek na przechowanie, spodziewała się bowiem zatrzymania.

Wyjaśnienia te nie były zaskoczeniem dla prowadzącego śledztwo. Od samego początku bowiem skierowane one było nie tylko przeciwko matce utopionego dziecka, ale także przeciwko ojcu. Tym, co uderzało w tej sprawie, było przecież współczucie wszystkich świadków dla Kazimiery Ł., ani jedna osoba nie nazwała ją wyrodną matką. Opinia publiczna, skora zazwyczaj do przedwczesnych potępień, tym razem wolna była od jakichkolwiek uprzedzeń. Wyjaśnienia wszystkiego trzeba było szukać w skomplikowanych układach rodzinnych małżonków Ł.

Poznali się przez koleżankę Kazimiery. Dowiedziawszy się, że jest wdową, Hipolit, sam wdowiec z miejsca dostrzegł w niej życiową partnerkę. Po przyjęciu zawiózł ją do siebie do Aleksandrowa motocyklem, aby zobaczyła, jak mieszka, potem odwiózł ją do Łodzi. Umówili się i zaczęli spotykać. Po trzech miesiącach znajomości zostali małżeństwem. Ona dysponowała mieszkaniem w Łodzi po zmarłym, sparaliżowanym mężu, on miał także zagospodarowane mieszkanie w Aleksandrowie, jego poprzednia żona zmarła nagle po operacji wyrostka robaczkowego. Oboje nie posiadali dzieci. On „z winy" poprzedniej żony, ona „z winy" sparaliżowanego męża, któremu była raczej nianką niż żoną. Oboje mieli podobne pobory, podobne wykształcenia, oboje pracowali w przemyśle włókienniczym. Podobieństw tych było tak wiele, że zapowiadali się na idealną parę. Tak to zresztą na początku wyglądało, chociaż znajomi odradzali im ten ślub.

— *Dwa miesiące po ślubie* — zezna Kazimiera na rozprawie 14 maja 1971 roku — *zaczęło się piekło w domu, mąż pił zwykłą wódkę, wracał do domu pijany. Mnie do wódki zapraszał, dla towarzystwa czasem wypiłam. Kiedy powiedziałam, że jestem w ciąży stwierdził, że to nie jego dziecko. I marudził.*

Świadkowie, krewni Kazimiery potwierdzili te wyjaśnienia, dodając nowe szczegóły. Hipolit, zaskoczony, że zostaje ojcem, domagał się syna. Miał stwierdzić, że o ile urodzi się córka, jego ojcostwo jest w takim wypadku wykluczone.

Ludzie, jakby chcieli go podrażnić. Siostra oskarżonej zauważyła mimochodem, że Kazimiera jest gruba, co wróżyło raczej dziewczynkę. Ale żartowniś sąsiad na podwórku uważał, że urodzi się syn, bo Kazimiera jakby wyładniała w ciąży. Hipolit uśmiechnął się wtedy i stwierdził żartobliwie:

— *Na pewno, bo jak szedłem spać z żoną, to powiesiłem siekierę na klamce i gwizdałem.*

Dziecko przyszło na świat 12 czerwca 1970 roku. Dziewczynka. Poród zaczął się poprzedniego dnia o piętnastej, a o drugiej z minutami dziecko wydało z siebie pierwszy krzyk. Ważyło 3000 g i liczyło 50 cm wzrostu.

Hipolit przyjął je dobrze. Pod nieobecność żony odmalował podłogi i przygotował się na przyjęcie noworodka. Pojechał do szpitala motocyklem, jakby zamierzał konwojować taksówkę, którą wracała położnica. Była dumna z siebie, chociaż urodziła córkę. Czekała na dziecko trzynaście lat.

Hipolit także był dumny, chociaż przy kieliszku poskarżył się, że urodziła *dziurawca. Dziurawiec* to synonim dziewczynki. Wyglądało wszakże, że pogodził się z tą sytuacją, której nie można już było zmienić.

3. III. 1971 został wezwany do prokuratury. Prokurator przedstawił mu zarzuty oskarżając jednocześnie o moralne i fizyczne znęcanie się nad żoną, co w konsekwencji doprowadzić miało do targnięcia się przez nią na życie dziecka. Hipolit nie przyznał się do winy, wyszło wszakże na jaw, że spodziewał się oskarżenia i próbował mu nawet zapobiec pertraktując na pogrzebie Ani z rodziną żony. Ale spotkał się z jak najgorszym przyjęciem. To właśnie szwagierki dźwigały później na procesie ciężar oskarżenia. Oskarżała Hipolita także żona. Na rozprawie 14 maja 1971 roku zeznała:

— *Mąż owijał mi twarz ręcznikiem i bił mnie, bo wtedy nie było znaków.*

Na niekorzyść Hipolita przemawiało to, że od 1948 roku uprawiał boks jako zawodnik. Siłę jego ciosu poznali zarówno krewni żony jak i przypadkowi przechodnie: oskarżyciel przedłożył sądowi dowody dwukrotnego skazania Hipolita przez kolegium karno-orzekające. Ale równocześnie rysowała się inna jego sylwetka. Był zasłużonym inspektorem społecznym ruchu drogowego, honorowym dawcą krwi, wielokrotnie odznaczanym przez PCK i cieszył się dobrą opinią w pracy.

Hipolit stwierdził, że nie rozumie, co skłoniło żonę do oskarżenia go przed prokuratorem.

— *Cały czas czekałem na dziecko. Lubiłem żonę jak najbardziej* — dodał — *jeszcze nawet ją lubię, ale sumienie mi tego teraz nie wskazuje.*

19 maja 1971 r. sąd wojewódzki skazał Kazimierę na 8 lat pozbawienia wolności, Hipolita zaś na 4 lata.

Od wyroku odwołali się oboje. Obrońca Kazimiery domagał się ustalenia, że skazana działała w stanie silnego wzburzenia i domagał się złagodzenia kary. Pełnomocnik procesowy Hipolita żądał jego uniewinnienia. Wtedy to zresztą po raz pierwszy zostały ujawnione listy Kazimiery pisane z więzienia do męża.

W końcu września 1971 roku Sąd Najwyższy uchylił wyrok sądu wojewódzkiego przekazując mu jednocześnie sprawę do ponownego rozpoznania. Przebywający w areszcie tymczasowym Hipolit zaczyna walczyć o zwolnienie. Pisuje skargi, wnioski, zażalenia, prośby kończące się na ogół zdaniem:

„Proszę o humanitarne rozpatrzenie mojej rozgoryczonej prośby za co bardzo dziękuję".

Kazimiera jakby pogodziła się ze swym stanem, popada tylko w głębszą depresję. Już przed pierwszą rozprawą przebywała na obserwacji w szpitalu psychiatrycznym, gdzie stwierdzono, że nie zdradza objawów choroby psychicznej ani niedorozwoju umysłowego, wszakże pod wpływem konfliktów rodzinnych popadła w nerwicę reaktywną o zabarwieniu depresyjnym, trwającą co najmniej kilka miesięcy. W celi próbuje popełnić samobójstwo: połyka igłę. Jej stan psychiczny budzi mimo wszystko wiele wątpliwości. Jeśli nawet przyjąć, że Hipolit znęcał się nad żoną, to przecież jej czyn jest reakcją nieadekwatną do sytuacji: posiadała własne mieszkanie, mogła się rozwieść, była kobietą samodzielną, posiadała zawód i pracę. Wiele małżeństw przeżywa konflikty, ale żadna z matek nie topi z tego powodu swego dziecka.

Kazimiera poddana zostaje kolejnej obserwacji w zakładzie psychiatrycznym. Lekarze pruszkowscy wystawiają opinię:

„W chwili popełnienia zarzucanego jej czynu znajdowała się w stanie sytuacyjnej reakcji depresyjnej na skutek czego jej zdolność rozpoznania czynu i zdolność pokierowania swoim postępowaniem była ograniczona w stopniu znacznym".

Jest już połowa roku 1972. Hipolit pisze z więzienia listy domagając się to przeprowadzenia ponownie śledztwa, to uchylenia tymczasowego aresztowania. Śle wniosek za wnioskiem, domaga się powołania nowych świadków. Rozprawa wyznaczona na październik ulega odroczeniu. Hipolit podnosząc głos stwierdza, że nie jest głupi, domaga się odwołania swego obrońcy i wydanie wyroku zaocznego. Ponieważ nie reaguje na uwagi przewodniczącego zostaje wydalony z sali. I znów pisze oświadczenia, prośby, wnioski, skargi. W końcu grudnia 1972 nowi biegli psychiatrzy przedstawiają opinię o stanie Kazimiery. Różni się ona od opinii lekarzy pruszkowskich. U oskarżonej stwierdzono ograniczenie zdolności zrozumienia czynu i pokierowania postępowaniem w stopniu nieznacznym.

Kolejna rozprawa wyznaczona na 21 marca 1973 także zostaje odroczona, ale tego dnia Hipolit zostaje zwolniony z aresztu i oddany pod dozór MO. Wszystkie swoje wysiłki kieruje teraz na uzyskanie rozwodu, który orzeczono 29. IX. 1973 r. Na rozprawie w listopadzie występuje już jako rozwiedziony. Kazimiera jest zmęczoną. Nie chce składać zeznań, prosi aby odczytano je z akt. Kiedy musi się do nich ustosunkować powie tylko, że mąż ją maltretował, co do listów zaś, to nie wie, czy je pisała w więzieniu, możliwe, że to pisały za nią znajome z celi, takie tam były praktyki.

Czekano na opinię sześciu biegłych lekarzy psychiatrów. Nie było pomiędzy nimi sprzeczności.

„Oskarżona wykazywała niedojrzałe reakcje afektywne". „Czyn oskarżonej jest adekwatny do osobowości histerioidalnej".

Wszakże jedna z opinii musiała zastanowić. Przypomniawszy skomplikowane układy rodzinne oskarżonej biegły stwierdził, że stanęła ona wobec wyboru: mąż albo córka. *„Wybrała więc męża, a dziecko utopiła".*

14 grudnia 1973 r. zapadł wyrok skazujący Kazimierę na 5 lat pozbawienia wolności, Hipolita na lat 3. Wobec Kazimiery uprawomocnił się on, Hipolit wszakże wniósł rewizję do Sądu Najwyższego, który w końcu 1974 postanowił wyrok sądu wojewódzkiego utrzymać w mocy, zmniejszając jednocześnie oskarżonemu karę o połowę na podstawie amnestii. Wcześniej, bo w sierpniu 1974 na tej samej podstawie złagodzono karę Kazimiery do trzech lat i czterech miesięcy pozbawienia wolności.

Ale nawet teraz, znając wszystkie okoliczności tej sprawy, stawiam sobie pytanie: *jak to było możliwe?*

FILM

„DZIEJE GRZECHU"

Była to książka bardzo długo czytana w atmosferze skandalu. Pisana z odcinka na odcinek i drukowana w latach 1904—1907 na łamach warszawskiej „Nowej Gazety". Powieść Żeromskiego była dla ówczesnych czytelników sensacją obyczajową na miarę, czy ja wiem, może współczesnego nam „Ostatniego tanga w Paryżu". Czytana przez wiele pokoleń z wypiekami na twarzy, dziś budzi zażenowanie i uśmiech. Zażenowanie u tych ludzi, co szanują pisarza, któremu towarzyszy miano „sumienia narodu", uśmiech u wszystkich wychowanych na współczesnej literaturze i filmie. Obyczaje się zmieniły a mimo to „Dzieje grzechu" Stefana Żeromskiego pozostają nie tylko pierwszą, ale i chyba jedyną powieścią erotyczną w dziejach polskiej literatury.

Odwaga autora zrealizowanych we Francji „Opowieści niemoralnych" — Waleriana Borowczyka — nie dotyczy jednak spraw erotyki, lecz faktu decyzji adaptowania tej powieści, której kiczowatość odstrasza współczesnych czytelników od jej lektury. Cóż z tej odwagi wyniknęło? — znakomity film. Czy znakomity dla wszystkich, przewidzieć to trudno. Sądzę jednak, że reakcje na filmowe „Dzieje grzechu" mogą być znakomitym sprawdzianem kultury literackiej i kultury filmowej ich widzów. Kulturę literacką w ogromnym stopniu określa bowiem reakcja na typ opowieści melodramatycznej, to samo rzec by można o kulturze filmowej. W przypadku filmu Borowczyka będzie to jednakże coś więcej, a mianowicie — stopień wrażliwości, a co za tym idzie odczytanie intencji reżysera, intencji ukrytych w samym sposobie filmowej kreacji. Ekranowe „Dzieje grzechu" są bowiem rodzajem gry zaproponowanej przez twórcę, jeśli jej reguły widz rozszyfruje, jego w niej udział będzie w pełni satysfakcjonujący.

Film Waleriana Borowczyka brać trzeba z całym dobrodziejstwem inwentarza przeniesionego z literackiego pierwowzoru. Składa się nań fabuła, pełna wydarzeń niezwykłych, zgoła nieprawdopodobnych, fabuła dynamicznie przerzucająca nas w czasie i przestrzeni, wypełniona galerią postaci nieomal z pogranicza fantazji, postaci przerysowanych i soczystych w swej nadzwyczajności. Składa się nań bogactwo sytuacji i szczegółu obyczajowego, bogactwo świata i scenerii i rekwizytów z epoki. Wszystko to było w powieści i jej adaptacje, w sensie wykorzystania wątków i szczegółów świata materialnego, zaliczyć można do najwierniejszych w naszym kinie. Zmieniła się jednak atmosfera. Klimat filmowych „Dziejów grzechu" nie jest klimatem powieści Stefana Żeromskiego. Będzie to w oczach jednych widzów porażka reżysera, w oczach innych, tych którzy przyjęli zaproponowaną grę, jego zwycięstwem.

Uważam „Dzieje grzechu" Waleriana Borowczyka za film, będący ewenementem na gruncie naszej kinematografii. Po raz pierwszy zaproponowano nam bowiem film, będący czystą grą estetyczną, w trakcie której wyzwolić się można z pytań o społeczne czy moralne posiannictwo dzieła. Książka, która, nie ma co ukrywać, jest nieomal przysłowiową „powieścią dla kucharek" stała się pretekstem dla reżysera, a za jego pośrednictwem i dla nas, do wspaniałej artystycznej przygody.

Patrząc na film Borowczyka wiemy o tym, że takich fabuł się dziś nie opowiada, że nie tak kreuje się postacie, że nie tak się je gra. Bawimy się więc tą opowieścią, odnajdując w niej urodę świata literackiego kiczu i dawnego, może nawet jarmarcznego kina. Bohaterowie filmowych „Dziejów grzechu" to postacie nieomal modelowe — wspaniały, wyidealizowany kochanek (Jerzy Zelnik) i kochanek — brutal (Roman Wilhelmi), hrabicz — godnie reprezentujący swą społeczną warstwę (Jerzy Łukaszewicz), hrabia — degenerat i łotr (Marek Walczewski). I w tym świecie dziewczyna (Grażyna Długołęcka), nad której losem płakali ongiś czytelnicy. Jej dzieje to też nieomal modelowa opowieść o brutalnej przemocy zła, ku któremu wiedzie siła fatalna, której źródłem jest miłość i namiętność.

Tę historię Borowczyk opowiada „serio" i — dzięki mu za to. Nie poszedł bowiem łatwą w tych okolicznościach drogą pastiszu. A jednak, dzięki niezwykle wyrafinowanym metodom zachowania wobec historii tej dystansu, opowieść ta jest formą najsubtelniejszego właśnie... pastiszu. Jego ujawnieniem jest między innymi owa, na pozór nie do przyjęcia metoda „serio", wykorzystująca wszystko to, do czego doszło się w sztuce opowiadania melodramatycznych fabuł literackich i filmowych. Jego ujawnieniem jest ożywienie kiczu — skompromitowanych gustów i stylów. Owej metodzie serio tym razem bez cudzysłowu, podporządkowana jest całą plastyczna koncepcja tego filmu. Filmowe „Dzieje grzechu" literacka wyobraźnię pisarza przyoblekły w przepiękny materialny kształt. Uroda plastyczna zrekonstruowanego i ożywionego świata epoki przełomu wieków jest w swym filmowym wydaniu absolutna. Walerian Borowczyk — malarz nie tylko z wykształcenia, w niezwykle harmonijnej współpracy z operatorem Zygmuntem Samosiukiem, kieruje naszą uwagę na to, co jest czystą plastyką, po to, by odkrywać za chwilę to, co jest już wyłącznie jej filmową, niepowtarzalną transformacją.

Filmowe „Dzieje grzechu" okazały się niespodzianką której pierwowzór literacki w żaden sposób nie zapowiadał. Oto, co może siła artystycznej wyobraźni i estetycznej świadomości, oby jej partnerami okazali się też widzowie. Jeśli zaś film Borowczyka czytać będą tak jak powieść Żeromskiego, będzie to jeszcze jedno, inne tym razem zwycięstwo reżysera — bo w melodramacie i kiczu znajduje bowiem ujście potrzeba wzruszeń najprostszych, jakże często cennych, bo oczyszczających.

EWA NURCZYŃSKA

SPORT

ZA WCZEŚNIE NA WAKACJE

W ubiegłym tygodniu, kiedy pisałam felieton pt. „Cuda i dziwności" nie wiedziałem jeszcze, że stanie się kolejny cud i zostanę BOGDANEM MADEJEM. Cud ten jest zasługą sympatycznych zecerów i sympatycznej korekty. Dzięki nim zmieniłam płeć bezboleśnie, szybko, choć nieskutecznie. Nadal jednak nie wiem, jaki był cel tej cudownej przemiany. Być może chciano mi przypomnieć, że w Katowicach odbywają się Mistrzostwa Europy w boksie — tym tak bardzo męskim sporcie — a ja nic tylko furt o piłce nożnej.

Ten felieton natomiast, nie tylko przez kobiecą przekorę, poświęcam również piłce nożnej. A to dlatego, że ważą się losy I ligi piłkarskiej i to przede wszystkim w dolnej, szczególnie interesującej łódzkich kibiców strefie. Zgrupowane tutaj drużyny piłkarskie — ŁKS, Tychy, Pogoń, ROW, Gwardię, Arkę i Szombierki — dzieli niewielka różnica punktów. ŁKS ma stosunek punktów 25 : 31, a ostatnie w tabeli Szombierki — 22 : 32. Taki stan był po spotkaniach z 4 czerwca 1975 roku. Do zakończenia sezonu pozostało jeszcze po dwa spotkania. ŁKS rozgrywa je ze Śląskiem Wrocław i z ROW. Wprawdzie w dniu, w którym niniejszy felieton ukaże się w druku, układ tabeli będzie inny, ale to nie zmienia istoty rzeczy.

A tę istotę rzeczy chciałabym zilustrować opiniami sprawozdawców sportowych prasy codziennej. We wtorek przed spotkaniem ŁKS — — GKS Tychy „Express Ilustrowany" opublikował rozmowę z kierownikiem drużyny GKS Tychy — Alojzym Bracikiem.

— **„Ostatnio** — powiedział „Expressowi Ilustrowanemu" Alojzy Bracik — **wprawdzie nie wiedzie mu się najlepiej** (ŁKS oczywiście — przy. B. M.), **ale nikt nie wątpi, że pozostanie w ekstraklasie. Wystarczy jak uzyska jeszcze jeden punkt..."**

— **„Czy to się stanie już dziś?..** — pyta „Express Ilustrowany.

— **„Być może..."** — odpowiada Alojzy Bracik, ale na wszelki wypadek, aby nie budzić daleko idących domysłów, dodaje — **„Chcielibyśmy jednak, aby ten punkt łodzianie uzyskali w spotkaniu u siebie z ROW lub we Wrocławiu ze Śląskiem"...**

„Celem ŁKS — telefonuje z Katowic po meczu z Tychami wysłannik „Głosu Robotniczego", Wojciech Filipiak — **był w tym meczu remis. Temu podporządkowana była taktyka łodzian. Przez większą więc część meczu gospodarze mieli przewagę, a równorzędną grę obserwowaliśmy tylko przez kilka minut".**

„W pierwszej połowie — napisał w „Trybunie Ludu" Stefan Riedel — **obie drużyny zademonstrowały zupełnie wakacyjny futbol."**

Cel został osiągnięty, łodzianie przywieźli z Tych jeden punkt oraz jeszcze jedną czerwoną kartkę, którą tym razem za krytykowanie orzeczeń sędziego otrzymał Kasalik. Ze sportem ma to wszystko jednak mało wspólnego, gdyż w ogóle tego dnia panowała na boiskach ligowych świąteczna atmosfera i renomowane drużyny grały jakby od niechcenia. Nawet Arka, która zajmuje 15 miejsce w tabeli wygrała z mistrzem Polski — Ruchem z Chorzowa. Warszawska Gwardia, 14 miejsce w tabeli, trafiła — jak to napisał w „Trybunnie Ludu" M. Bilewicz — **„na wyjątkowo niedysponowanego rywala, który całkowicie zawiódł, zwłaszcza w linii ataku".** Tym rywalem był Śląsk z Wrocławia, 3 miejsce w tabeli. Tego typu niedyspozycje mogą zdarzyć się również i w następnych meczach. Tylko Szombierki przegrały bowiem ze Stalą Mielec, jako że drużyny tej chyba nic już nie uratuje przed spadkiem z I ligi.

Kazimierz Górski nauczył kibiców piłki nożnej, że drużyna, której nawet do utrzymania swojej pozycji wystarczy remis powinna dążyć do pełnego zwycięstwa, gdyż tylko w ten sposób można osiągnąć zaplanowany cel. O tej nauce widać zapominają działacze klubowi i trenerzy, gdyż piłkarze w ostatnich meczach sezonu realizują tylko spekulacje i rozgrywki klubów. Stąd ta świąteczna i wakacyjna atmosfera na boisku, stąd gra na stojąco. Ale nie jest to już gra w piłkę, jest to gra ambicji.

Zastanawia również obfitość kar, jakie w tym czasie spadają na łódzki zespół. Czy drużyna, która zagrożona jest spadkiem z ligi może pozwolić sobie na takie rozluźnienie dyscypliny? Odpowiedź na to pytanie powinni znaleźć kierownicy ŁKS.

BOGDA MADEJ

OBYCZAJE

CO TEN PRZEKLĘTY WIRUS NAROBIŁ

FELIKS BĄBOL

Wirus pustoszył miasto niezwykle zajadle. Zanim jeszcze lekarze nazwali go po imieniu, już dał się poznać w tysiącach rodzin. Całe szczęście, że aptekarze byli dobrze przygotowani. Leki przeciwko wirusowi kupowali skrzętnie nawet ci niedowiarkowie, którzy mówili:

— Pani! Jaka tam grypa!, to prawdziwa cholera... A wie pani skąd? Z cytryn i bananów. Z tych proszków, którymi owoce obsypują przy pakowaniu do skrzynek.

Niedowiarkowie, po tych rewelacyjnych wyjaśnieniach, kupowali w najbliższej aptece antybiotyki, witaminy i syropy, zamawiali wizyty domowe lekarzy i „szli na chorobę".

W owych dniach przed kilkoma laty do dobrego tonu należało sprezentować komuś na imieniny nie znany szerzej gatunek penicyliny. Jako nowoczesną manierę i dowód wyraźnego postępu traktowano w biurach i urzędach obżeranie się czosnkiem i cebulą. Był to okres szybkiego rewolucjonizowania się poglądów na świat i choroby. Zahaczyła o ten temat pani Żaneta:

— Czy wiecie? Kuzyn narzeczonej mego Karola, młody, 36 lat, inżynier, nigdy nie chorował... a teraz położył go wirus. Zdrowy był chłop, postawił sobie bańki, poleżał trzy dni i wrócił do pracy. Ale wieczorem następnego dnia, znowu wirus go dopadł. Wezwano pogotowie, ale nie zabrało go do szpitala, powiedzieli, że to nic takiego. Za kilka godzin znowu je wezwano. Tym razem zabrali. A w szpitalu — kto by się spodziewał! — umarł. Wiecie na co? Nie dacie wiary — nie na zawał serca, a na zawał płuc. Tak, właśnie na zawał płuc. Podobno coś pęka w piersiach — i to nagle — i człowiek się kończy...

Tematem dnia stały się ostatnie wieści o przebiegu choroby u znajomych. Dzięki chorobie wielu ludzi przypominało sobie istnienie na tym świecie swoich bliższych i dalszych krewnych i przyjaciół, jakby dla samej sprawiedliwej satysfakcji przed ich odejściem do innych światów. Teraz chętnie wypytywano się o postęp choroby u tych ludzi pomijanych przez dziesięciolecia.

Zwycięstwa jakie odnosił wirus uwidoczniły wreszcie doniosłość grabarzy. Wiadomo było do tej pory, że jest to zawód wymierający, że cierpi na brak narybku i dopływu młodych kadr, że szkolnictwo zawodowe w tym zakresie niemal że nie istnieje. A ludzie, jak to ludzie, ułatwiając sobie oceny, przyrównywali pod pewnym względem grabarzy do niektórych kelnerów, szatniarzy itp., jednym słowem do ludzi, którym wypada przy świadczeniu usług dać w łapę. Przyrównywali do nich grabarzy, bo to i kwatera na cmentarzu rzecz ważna, i gleba nieobojętna dla procesu łączenia się naszych bliźnich z matką-naturą — podobno najkorzystniejsze jest podglebie piaskowe — dopiero teraz zawód grabarza zyskał na randze.

Grzegorz pochował kogoś z biura i to on naświetlił mi cały problem. Jako sekretarz rady zakładowej, nie mógł sobie pozwolić na nieobecność na cmentarzu, tym bardziej że z załogi ubywał zastępca kierownika zbytu. Przeciwnie — wypadało mu nawet — niezależnie od wysiłków rodziny zmarłego — zająć się poniekąd stroną organizacyjną pogrzebu. Więc w przeddzień wyprowadzenia zwłok połączył się telefonicznie z kierownikiem cmentarza.

— Ja w sprawie jutrzejszego pogrzebu.

— Jutrzejszego? A nazwisko?

— Moje?

— Nie, zmarłego...

— Powiedziałem nazwisko — opowiadał Grzegorz — i powiedziałem, że nam bardzo zależy, żeby jutro odbyło się wszystko sprawnie i punktualnie, bo przyjdzie delegacja załogi, rodzina ściągnie z Warszawy i Krakowa...

— Zaraz — przerwał kierownik — sprawdzę na liście przychodu... lak, ...ski, ...ciak, ..ulski, ...iński ...Nie, waszego nieboszczyka nie widzę na liście, ale sprawdzę jeszcze raz...

No więc szukam jeszcze raz pańskiego zmarłego ...lak, ...tarz... widzi pan sam — na liście go nie ma.

— No, to co będzie? Delegacja zjawi się na cmentarzu, zwali rodzina zamiejscowa i co? Do domu odmarsz?

— A co ja panu na to poradzę? Grabarze pracują już po nocach, żeby na rano groby były przygotowane, dzięki bogu noce mamy ciepłe, to można kopać bo ziemia miękka, ale harują, panie drogi, strasznie, na trzy zmiany...

— Może jednak pan coś wymyśli, kierowniku? Może da się coś przesunąć, żeby ten nasz zakładowy pogrzeb...

— Co przesunąć? Nieboszczyka w trumnie chce pan przesunąć? — Kierownik wyraźnie zaczynał być poirytowany.

— Bo widzi pan, — próbowałem sprawę jakoś załagodzić — może komuś specjalnie nie zależy na jutrzejszym dniu, są zmarli bez większych rodzin, najwyżej dwie — trzy osoby, takim obojętne, czy pochować w czwartek czy w piątek, zwłaszcza jeśli to miejscowi. Molestowałem kierownika i — okazało się — nie bez rezultatu. Czułem, że mięknie.

— To mi pan klina zabił tym swoim nieboszczykiem — rzekł po wymownej chwili milczenia w słuchawce. Czułem niemal, jak drapie się po głowie. — Wie pan co, przyjedź pan tu do nas na cmentarz, może coś uradzimy na miejscu...

— I co? — zapytałem Grzegorza — Pojechałeś?

— Co było robić? Zjawiłem się na cmentarzu jeszcze tego samego wieczoru. Przez jakąś godzinę głowiłem się nad tym, w co się „uzbroić", co zabrać w charakterze tzw. załącznika do sprawy? Czy pół litra, czy jakiś banknot? Był to kłopot nie lada, nie miałem przecież wprawy w załatwianiu spraw na cmentarzu. Ostatecznie — pojechałem „nie uzbrojony". — Zawsze trzeba liczyć na ludzką uczciwość i bezinteresowność — pomyślałem — nawet jeśli chodzi o tak trudne kwestie jak ta, której się podjąłem.

— Wie pan — rzekł kierownik po powitaniu — znalazłem pańskiego nieboszczyka. Dopiero pojutrze będzie chowany. Ci jutrzejsi leżą w kaplicy i przed kaplicą.

— A ci na pojutrze?

— W głównej alei, ale też niedaleko kaplicy.

— To wszystko bardzo ładnie — rzekłem — ale niech pan powie, co tu dałoby się zrobić?

— No, co — małe przesunięcie z kaplicy w aleję i z alei do kaplicy.

Kierownik poprowadził mnie główną aleją. Gdzieś z bocznej kwatery dobiegały odgłosy pracy kopaczy. Grabarze pracowali na nocnej zmianie. Ich łopaty i szpadle ze zgrzytem wciskały się w ziemię, głośnym echem odbijały się uderzenia szpadla o kamień, głucho brzmiały narzędzia, natrafiając na korzenie drzew. Kierownik odszedł na chwilę, skręcając w boczną ścieżkę między grobami i zawołał:

Przerwijcie na chwilę i chodźcie do mnie.

Dwóch ludzi w swetrach i granatowych bluzach luźno opinających ich tęgie figury ukazało się pod rosnącą tuż obok brzozą.

— Jednego z tych pojutrzejszych trzeba będzie przesunąć na jutro i to wszystko.

— Jednego — rzekł grabarz — ale którego?

— Znajdziemy kogoś.

Poszliśmy całą grupą. Wkrótce w bladym świetle księżyca ukazującym na żwirze poprzez gałęzie starych drzew fantastyczne ornamenty, zamajaczyły dwa rzędy trumien. Zatrzymaliśmy się przed pierwszym, bliższym alei. Kierownik wyjął z kieszeni listę z nazwiskami i numerami. Te same numery odpowiadające nazwiskom na liście, napisane były kredą na frontowych ścianach trumien. Przyświecał sobie przy tym latarką elektryczną, podchodził raz po raz do leżącego dwuszeregu, ważył coś w myśli, zastanawiał się. Wreszcie wskazał na jedną z trumien.

— To pańska trumna... chciałem powiedzieć pańskiego kolegi. — A zwracając się do grabarzy, dodał: — Weźcie ją do kaplicy.

Kierownikowi przez moment chyba musiało się wydawać, że trumna jest pusta i że dwóch takich cosłych ludzi, jak ludzie z nocnej zmiany, poradzą sobie z ciężarem. Dopiero w następnej chwili zorientował się w swej pomyłce i rzekł: — Pomożemy im, co?

Grabarze wzięli z przodu, my z kierownikiem z tyłu. Nogi więzły nam głęboko w podmokłym żwirze aż dobrnęliśmy do kaplicy.

— No, w porządku — wyrzucił z siebie kierownik z uczuciem ulgi.

I tak miałem, jak się to mówi, z głowy cały ten problem zamiany nieboszczyków. Gdy podziękowałem grabarzom za ich trud opanowała mnie myśl, żeby włożyć rękę do kieszeni i dać tym ludziom chociaż na ćwiartkę, ale uświadomiłem sobie, że powinienem być konsekwentny: jeśli postanowiłem uważać tych ludzi za solidnych i chętnych do świadczenia usług bezinteresownych, to trzeba się trzymać tej linii. I nie zanurzyłem ręki w kieszeni, w której chowam portfel. Obaj grabarze złożyli mi niemy ukłon i odeszli do swej pracy w bocznej alei. Ale kierownik? Kierownikowi warto było jakoś się odwdzięczyć, wybawił mnie z kłopotu. Ująłem go pod ramię.

— Może mógłbym się panu czymś zrewanżować? — zagadnąłem.

— Nie ma o czym mówić, to drobiazg.

— Jak to drobiazg? Gdyby tak każdy przychodził i mieszał panu pogrzeby, wyobrażam sobie co by to było! Niech pan powie, zacząłem — co robi pańska żona? Może swetry na takiej domowej maszynce dziewiarskiej? Bo my właśnie produkujemy części do takich aparatów. Wiem, że to dobry interes, wiele żon dorabia sobie w ten sposób, pomagając swym mężom.

— Nie, nie mamy maszynki do swetrów, ale męczymy się z magistrem...

— Z magistrem?

— Tak, z magistrem filologii. Mój chłopak skończył filologię, a teraz, wie pan, w związku z małym przyrostem naturalnym, do szkoły na posadę trudno się wcisnąć, a syn już od roku szuka jakiejś roboty. Może właśnie u was w biurze przydałby się magister filologii.

— Hmm, magister filologii... — zastanawiałem się — nie widzę nic takiego u nas w fabryce, ani w biurze, ale było — nie było, zapytam w kadrach, może coś się wykombinuje

Pogrzeb odbył się zgodnie z planem. Wygłosiłem nawet krótkie przemówienie jako sekretarz rady, wróciliśmy przemoknięci do domów Następnego dnia po południu zadzwonił telefon na mym biurku w radzie zakładowej.

To pewnie kierownik z cmentarza — pomyślałem — a ja tu jeszcze nie zdążyłem nawet słówka szepnąć personalnej. Podniosłem słuchawkę Tak, to on był przy telefonie, ale głos miał jakiś dziwny, zmieniony niemal nie do poznania.

— No — wyszeptał — i mamy klops...

— Co się stało? Może syn, ten magister coś tam...

— Nie, klops z tym pańskim pogrzebem.

— Jak to — przecież poszło wszystko jak trzeba.

— Tak, jak trzeba, tylko, że pomyliliśmy trumny, no wie pan, zamiast piętnastki wzięliśmy wtedy z alei trumnę numer szesnaście i pański kolega jeszcze leży. Odkryłem to dopiero w ostatniej chwili...

— Nie mówmy o tym — próbowałem go uspokoić — najważniejsze, że rodzina wcale nie zauważyła zamiany. Zresztą, tyle teraz trumien podobnych. W stolarniach nie mają czasu na żadne ozdoby i rzeźbienia, a co do mnie, zrobiłem co mogłem. Gdy ludzie z zakładu pogrzebowego przyszli zabrać trumnę, pokazałem im tę spod kaplicy, bo tam ją przecież zanieśliśmy. Ani przez myśl nikomu nie przeszło, że to może być nie ta. I tamci chyba też nie zauważą zamiany...

— Myślę, że nie zauważą. Zresztą, muszę panu coś powiedzieć — mieli się zgłosić już o drugiej, a teraz mamy pół do czwartej, a żywej duszy jeszcze nie ma. Może przyjdą jutro? Nie przyszli dziś, to przyjdą i pochowają swego nieboszczyka jutro Mówię „swego nieboszczyka", hm, przyjdą i pochowają pańskiego kolegę. Popatrz pan, co ten przeklęty wirus narobił...

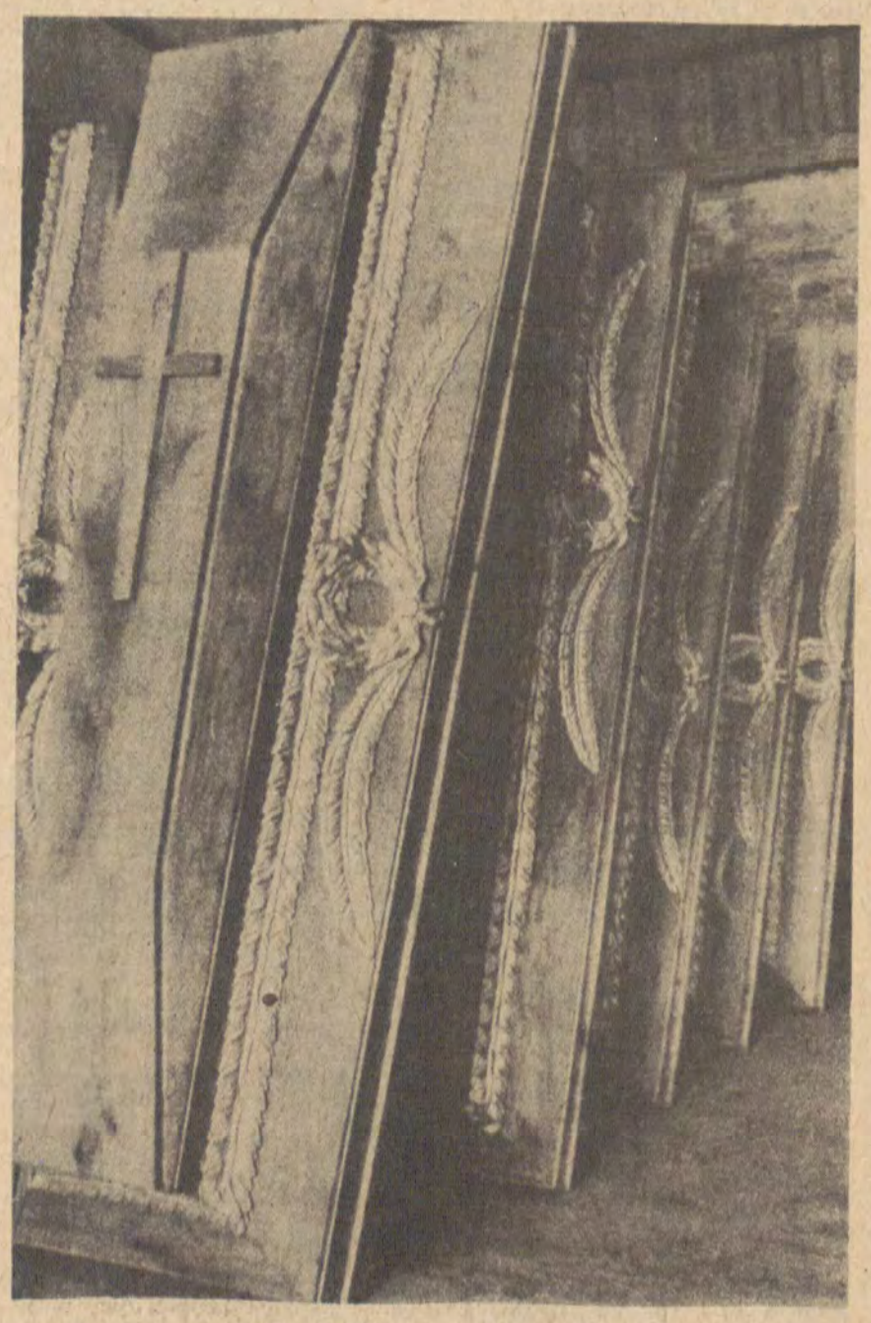

Fot. Włodzimierz Parys

U PRZYJACIÓŁ

W Niemieckiej Republice Demokratycznej trwają intensywne przygotowania do zaplanowanych na jesień br. „Dni Teatru Polskiego". Będzie to przegląd dorobku twórczego naszych pisarzy. Impreza o zasięgu dotychczas nie spotykanym, gdyż obejmie kilkadziesiąt scen teatralnych i muzycznych w NRD. Każda z nich wystąpi z polską sztuką lub utworem muzycznym, prezentując zarówno dzieła naszych klasyków jak i twórców współczesnych. Zaplanowano również w tej imprezie udział polskich artystów i niektóre spektakle zrealizowane zostaną przez polskich twórców. W Berlinie wystąpią m. in. zespoły — Teatru Narodowego i Warszawskiej Opery Kameralnej.

„Dni", poprzedzi wystawienie w stolicy NRD przez „Berliner Ensemble" sztuki Leona Kruczkowskiego „Pierwszy dzień wolności". Spektaklem tym nasi niemieccy przyjaciele uświetnią obchody 22 lipca w Berlinie. Będzie to druga już inscenizacja tego dzieła w NRD, po uprzednim wystawieniu go przez teatr we Frankfurcie nad Odrą. Sztukę Kruczkowskiego zaprezentują również teatry w innych miastach — w Halle, Zwickau i Rostocku.

Program „Dni" przewiduje prezentacje ponad 50 naszych dzieł teatralnych i muzycznych. „Staatsoper" w Berlinie przedstawi „DIABŁY Z LOUDUN" Pendereckiego. W Dessau zostanie wystawiony „STRASZNY DWÓR" Stanisława Moniuszki, a w Bautzen i Halberstadt — „HALKA". Repertuar teatru w Goerlitz przewiduje prezentację „PANA JOWIALSKIEGO" Aleksandra Fredry. „ZEMSTĘ" pokaże teatr w Zwickau, a „DAMY I HUZARY" — teatr w Dessau. Teatr w Grefswald wystawi „DOM KOBIET" Zofii Nałkowskiej, a teatr w Magdeburgu „SKORO GO NIE MA" Tadeusza Peipera. Teatry w Cottbus i Bautzen wystąpią z widowskiem „NA SZKLE MALOWANE" Ernesta Brylla z muzyką Katarzyny Gaertner. W Rostocku grane będą „GRUPA LAOKOONA" Tadeusza Różewicza i „TANGO" Sławomira Mrożka. Program „Dni" przewiduje także prezentację utworów Agnieszki Osieckiej, Edwarda Redlińskiego, Janusza Głowackiego, Bohdana Drozdowskiego, Tadeusza Nowaka, Jerzego Jurandota i innych.

W czasie „Dni Teatru Polskiego" zorganizowane będą również liczne imprezy towarzyszące. W Berlinie, Dreźnie i Halle eksponowana będzie wystawa poświęcona twórczości Stanisława Wyspiańskiego oraz ekspozycja plakatu i fotogramów teatralnych. Polski Ośrodek Informacji i Kultury zorganizuje w stolicy NRD szereg odczytów i spotkań z ludźmi teatru. Ukaże się także specjalny numer czasopisma „Theater der Zeit" poświęcony w całości teatrowi polskiemu.

* ★ *

Po trwającym kilka lat remoncie, oddany został do użytku zamek Kochberg w Okręgu Gera. Jego historia wiąże się z życiem największego poety niemieckiego — J. W. Goethego. Poeta gościł tutaj często w końcu lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, zamek bowiem stanowił własność rodzinną Charlotty von Stein. Obok muzeum, zwiedzającym udostępniony został 5-hektarowy park z pięknymi budowlami ogrodowymi. Klejnotem zamku Kochberg jest klasycystyczny teatr, w którym przewiduje się wystawianie widowisk poetyckich, opartych na twórczości Goethego.

* * *

Od przeszło dwudziestu lat działa w Pradze znane literackie wydawnictwo „Artia", którego działalność edytorska koncentruje się na wydawaniu literatury w językach obcych. W okresie swojej działalności wydało 5 tysięcy tytułów w ponad 20 językach. Oprócz tzw. języków światowych, są to: polski, bułgarski, serbochorwacki, wszystkie języki skandynawskie, a także japoński, chiński, arabski, bengalski i swahili. Ogólny nakład eksportowanych do 30 krajów książek, przekroczył 100 milionów egzemplarzy. Ciekawostką jest to, że znaczna część osiąganych przez to wydawnictwo dochodów, przeznaczona jest na unowocześnianie i doskonalenie czechosłowackiej bazy poligraficznej.

Oficyna wydawnicza „Artia" współpracuje z przeszło 17 zagranicznymi partnerami, dla których wydaje książki pod własną firmą, jak też wspólnie z zagranicznymi edytorami.

* * *

Na Węgrzech działa 10 tysięcy zespołów amatorskich skupiających ok. 300 tysięcy osób. Ostatnio wzrasta w zespołach liczba uczniów, studentów i młodzieży robotniczej.

Najwięcej artystów amatorów skupiają zespoły śpiewacze, spośród których 60 nagrodzono „Złotymi dyplomami honorowymi" za osiągnięcia na międzynarodowych festiwalach.

Rozwój amatorskich zespołów instrumentalnych jest wynikiem, uznanych na całym świecie, węgierskich metod nauczania muzyki. Większość tych orkiestr znajduje się pod patronatem związku zawodowego lub miasta. Powstaje też coraz więcej zespołów folklorystycznych.

Amatorskie zespoły teatralne, nawiązujące do tradycji dawnych teatrów robotniczych i studenckich, prezentują ciekawy repertuar i różnorodne style gry. Dzięki nim odrodziła się komedia ludowa. Wzrastające zainteresowanie sztuką ludową oddziaływuje owocnie na rozwój amatorskich kół haftu, tkactwa, rzeźby.

Większość amatorów zajmujących się filmem zorganizowana jest w specjalnych klubach. Najlepsze utwory prezentuje się w kinach i telewizji.

HISZPANIA

OTWARTA KRYTYKA FRANKIZMU

W Hiszpanii obserwuje się nową sytuację: do walki o prawa ekonomiczne i polityczne, którą od lat toczy klasa robotnicza, dołączyły się dziś szerokie warstwy społeczeństwa. Reżim frankistowski przeżywa najostrzejszy kryzys na przestrzeni całej historii swego istnienia.

Władze coraz mniej wierzą we własne siły. W wielu wypadkach policjanci odmawiają występowania przeciwko demonstrantom z poprzednią brutalnością. Zdarzyło się tak na przykład w Navarze podczas strajku górników. Zdecydowane działania rozwijają uniwersytety. Wykładowcy i studenci nie tylko wysuwają żądania pod adresem władz, lecz także opracowują nowy statut uczelniany. W peryferyjnych dzielnicach miast powstają „stowarzyszenia sąsiadów", „stowarzyszenia gospodyń domowych" i in., które w praktyce dnia codziennego przejmują na siebie funkcje władz miejskich wyznaczanych odgórnie: kierują sprawami lokalnymi ograniczając władzę figurantów reżimu. Wystarczy na przykład kłótnia policjanta z właścicielem sklepu, żeby na przedmieściu stolicy wszystkie sklepy opuściły żaluzje. Policja wojskowa (tzw. gwardia obywatelska) nie ma chwili wytchnienia. Ale pałka już nikogo nie przeraża. Zresztą policja wojskowa przekonała się nieraz, że pałka ma dwa końce.

Średnie warstwy społeczne, przez długie lata kokietowane przez reżim, przeżywają trudności spowodowane kryzysem.

Kościół stroni od reżimu. Na ostatnim zjeździe episkopalnym na stanowisko głowy episkopatu wybrano kardynała Farancona. Na „wiernego sługę" frankizmu — biskupa Guerro Camposa padł jeden głos: jego własny....

Coraz więcej dygnitarzy reżimu przechodzi do szeregów opozycjonistów. W końcu lutego tego roku jego ekscelencja Francisco Fernandez Ordonez, były prezydent Narodowego Instytutu Przemysłu i pomocnik ministra finansów, miał zgoła „rewolucyjne" wystąpienia. Zabierając głos przed licznym audytorium finansistów, przemysłowców, działaczy politycznych, dyplomatów, w obecności trzech generałów, pół tuzina frankistowskich dygnitarzy, dwóch książąt, markizy i dwóch hrabin pobladłych z przerażenia i wstrętu, Ordonez, pomijając stylistyczne subtelności przyjęte w wystąpieniach przed tak czcigodnym gronem, przeszedł wprost do sedna sprawy: „Reorganizacja reżimu — powiedział — wymaga niezbędnych, głębokich zmian w instytucjach państwowych, gruntownej rewizji prawodawstwa. Zmiany te zakładają proces konstytucyjny, w którym powinny wziąć udział wszystkie siły polityczne kraju... Użycie siły wydaje się powierzchownym rozwiązaniem tego procesu. Gwałt nie doprowadzi do niczego... Nie karmcie się kłamliwymi iluzjami; nie myślcie, że można zrobić coś poważnego nie dając narodowi prawa do rozstrzygania o jego losach".

W zakonspirowanych mieszkaniach odbywają się każdego tygodnia tajne posiedzenia stałej komisji Demokratycznej Junty Hiszpanii, działającej nielegalnie. Należą do niej przedstawiciele różnych sił antyfrankistowskich, a w ich liczbie przedstawiciele Komunistycznej Partii Hiszpanii, partii socjalistycznej, katolickiego centrum. DJH tworzy coraz to nowe organizacje w dzielnicach mieszkalnych i zakładach pracy wielkich miast.

Dziś przybysza z zagranicy uderza w Hiszpanii zjawisko dawniej nie spotykane: otwarta krytyka reżimu frankistowskiego. Te ogólne nastroje znajdują odbicie w hiszpańskiej prasie. Zarówno gazety codzienne jak i tygodniki współzawodniczą w próbach oszukania cenzury, powiedzenia wszem i wobec o tym, czego lud hiszpański pragnie.

Frankistowska kamaryla jest ogniskiem korupcji, intryg i prowokacji. Przeczuwając bliski koniec, próbuje za wszelką cenę przedłużyć swój żywot. Stąd też prowokacje policyjne i organizowane przez nią zamachy mnożą się od lipca ub. roku, od czasu, gdy powstała Demokratyczna Junta Hiszpanii i wysunęła alternatywę zmian wykluczającą użycie siły. Żeby nie być gołosłownym 3 września 1974 roku wybuchła bomba w kafejce „Rolando", w pobliżu komisariatu policji. 12 osób straciło życie, wiele odniosło rany. O dokonanie zamachu oskarżono oczywiście komunistów i inne ugrupowania antyfaszystowskie. „To sprawa demokratycznej junty" — komentował to wydarzenie organ skrajnej prawicy „El Alcasar". Niebawem już cały Madryt wiedział, komu na rękę był wybuch bomby w kafejce. Z kół rządowych przeniknęła na zewnątrz informacja, że kilka dni przed wybuchem bomby policjanci otrzymali polecenie omijania kafejki, w której zazwyczaj przesiadywali po pracy.

Szczególne zainteresowanie obserwatorów wydarzeń w Hiszpanii wzbudzają przejawy niezadowolenia w szeregach armii, a wydarzenia ostatnich tygodni wskazują, że nie jest ona bynajmniej monolitem. Tak więc nawet wojsko, ostatnia opora i „wyższy duch reżimu", budzi się ze śpiączki. A oto fakty. 120 oficerów, odbywających służbę w Kartagenie, podpisało rezolucję żądającą demokratyzacji aparatu wojskowego. W uniwersytetach, a przede wszystkim w Uniwersytecie Madryckim, kursują pisane przez oficerów pamflety na rząd oraz ulotki popierające Demokratyczną Juntę. Wiadomo, że niedawno odbyło się w Madrycie zebranie 25 oficerów, na którym dyskutowano wydarzenia w Portugalii, że istnieją kontakty między Demokratyczną Juntą i wojskowymi i że Komunistyczna Partia Hiszpanii utrzymuje kontakty z szeregiem podoficerów i oficerów, i wydaje gazetę podziemną dla wojska.

Wojskowi, głównie młodzi, coraz częściej odmawiają wykonywania funkcji policyjnych. Po zabójstwie admirała Carrero Blanco właśnie oni sprzeciwili się wprowadzeniu stanu wyjątkowego, czego żądała policja wojskowa. W Ferrole odmówili udzielenia pomocy policji, która nie mogła dać sobie rady ze strajkującymi robotnikami. Kapitan Jesus Molina z garnizonu w Barcelonie odmówił sporządzenia spisu strajkujących robotników kolejowych bez pisemnego rozkazu dowództwa. Za karę wysłano go do Afryki.

Podczas zebrania 30 oficerów w Barcelonie, na którym omawiano program uroczystości z okazji rocznicy założenia akademii wojskowej w Saragossie, major Julio Buskets i kapitan Jose Julves wystąpili w obronie kapitana Moliny. Obaj oficerowie zostali ukarani dwutygodniowym aresztem w twierdzy „Figueras". Chodzą słuchy, że w odpowiedzi na to ich koledzy złożyli pisemny protest i zażądali dymisji Franco. Obecnie wiadomo, że po wielu garnizonach hiszpańskich krąży manifest solidarności z Moliną, Busketsem i Julvesem. Warto wspomnieć, iż major Buskets był wykładowcą w uniwersytecie w Barcelonie, a kapitan Julves pracownikiem naukowym.

W armii hiszpańskiej pozostała już tylko garstka starych ultrasów, których obecnie nie bierze się poważnie. Do roku 1980, jak podaje major Buskets w swej książce wydanej w 1967 roku (o zawodowej kadrze wojskowych w Hiszpanii), wszyscy wojskowi — uczestnicy wojny domowej w latach trzydziestych pójdą na emeryturę. Znaczna część synów podoficerów dosłużyła się już stopni oficerskich. „Ta okoliczność — podkreśla Buskets — może wpłynąć na zwiększenie zainteresowania obecnej kadry oficerskiej problemami społeczno-ekonomicznymi w kraju i sprzyjać powstawaniu lewicowych nurtów w wojsku".

W armii coraz wyraźniej zaznacza się linia demarkacyjna między armią generałów, którzy uczestniczyli w wojnie domowej, a armią młodych majorów, kapitanów, poruczników, wywodzących się częstokroć z rodzin drobnomieszczańskich, których uwagę przyciągają doświadczenia portugalskiego Ruchu Sił Zbrojnych. Trudno by dziś wyciągać z tego jednoznaczne wnioski, że armia hiszpańska pójdzie na tak radykalne rozwiązanie, jak portugalska. Niemniej może się ona odżegnać od niektórych aspektów wojny domowej lat trzydziestych. Istnieją dane, by sądzić, że wojsko podziela ten pogląd.

Faktem jest, że w armii były próby puczu. W niektórych kołach myśli się o nowych. Niedawno dowódcy dziewięciu okręgów wojskowych postanowili poprosić Franco o ustąpienie i przekazanie steru rządów Juanowi Carlosowi. Rozmowa nie odbyła się jednak, bowiem w ostatniej chwili dowódcy okręgów w Madrycie i Katalonii wycofali się z niej, lękając się konfliktu z caudillo. Ale, jak wyraził się dyrektor pewnej gazety w Barcelonie, jest to tylko odroczenie sprawy.

Czy można powiedzieć, że Franco i jego kamaryla są bezsilni, że nie dysponują siłą uderzeniową? Tak nie jest. W Madrycie jest jeszcze wciąż sporo zwolenników „rozstrzygnięcia problemu po hiszpańsku", to jest drogą wojny domowej na wzór lat trzydziestych. Ale jest ich coraz mniej, tracą wpływy. Premier Arias Navarro oświadcza, że „siły porządkowe" są gotowe „bezlitośnie zdławić" każdą próbę „buntu". Frankizm ma jeszcze zęby i kąsa, ale proces jego rozkładu jest niewątpliwy i szybki.

Klasa robotnicza, wierna zasadom wolności, zdecydowanie walczy przeciwko reżimowi, przeciwko wszelkim możliwym następcom Franco. Zjazdy, zebrania, dyskusje, spotkania, strajki odbywają się w całym kraju. „Komuniści — pisze korespondent „L'Humanite" — są w centrum tych wydarzeń, energiczni, aktywni, niezmordowani. Są wszędzie, jak sól ziemi, jak drożdże demokratycznego fermentu".

JERZY CZECH

■ PLON ROZMÓW W SZTOKHOLMIE

■ GEST DOBREJ WOLI

■ PODZIAŁ NIE KOŃCZĄCY HISTORII

Wspólna deklaracja o rozwoju przyjaznych stosunków, wieloletnia umowa o rozwoju współpracy gospodarczej, przemysłowej, technicznej i naukowej, umowa o współpracy w dziedzinie zdrowia i umowa w sprawie zapobieżenia podwójnemu opodatkowaniu w zakresie podatków od dochodów i majątku — oto **bezpośredni plon wizyty Edwarda Gierka w Szwecji.** Wymienione dokumenty, podpisane w czasie tej wizyty, zapewniają rozwój dwustronnych stosunków, wzbogacają ich treść i formy.

We wspólnej deklaracji, pod którą złożyli podpisy Edward Gierek i Olof Palme, **obie strony wyraziły swój pogląd na najważniejsze zagadnienia międzynarodowe.** Uznały Konferencję Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie za doniosły wkład w umocnienie pokoju i bezpieczeństwa na naszym kontynencie. Zapewniły, że współdziałać będą w dziedzinie rozbrojenia — **zahamowania wyścigu** zbrojeń oraz redukcji zbrojeń jądrowych i konwencjonalnych. Potwierdziły gotowość udziału w pogłębieniu przyjaznych stosunków między państwami bałtyckimi. Wyraziły gotowość stałego dialogu m. in. w sprawach, związanych z bezpieczeństwem i współpracą w Europie.

Polska i Szwecja są przekonane, że rozwój ich wzajemnych stosunków we wszystkich dziedzinach służy nie tylko obu narodom, ale jednocześnie **jest ich wkładem „w dzieło międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa, zwłaszcza w Europie".**

Jak wynika, choćby z tego skrótowego omówienia wspólnej deklaracji, w podstawowych i najważniejszych kwestiach dla europejskiego kontynentu oba kraje mają identyczne stanowisko. Umożliwia to współdziałanie na polu politycznym **w kierunku przekształcania procesu odprężenia w stan trwały.** Dlatego też wyniki rozmów w Sztokholmie wykraczają poza stosunki dwustronne.

* * *

Na drugim miejscu w przeglądzie wydarzeń ostatniego tygodnia wymienić trzeba **otwarcie Kanału Sueskiego.** Po ośmiu latach można znów korzystać z tego dogodnego szlaku komunikacyjnego. Co to oznacza dla gospodarki światowej wyobrażenie daje fakt, że w 1966 roku przez kanał przepłynęło 21 tysięcy statków i że 13 proc. całości przewozów morskich odbywało się tą drogą. Dla polskiej floty otwarcie kanału jest równoznaczne ze znacznym skróceniem rejsów na Daleki Wschód, do Indii i Wschodniej Afryki.

5 czerwca 1975 roku, a więc w dniu ponownego uruchomienia tej wodnej arterii komunikacyjnej, prez. Sadat powiedział, że **Kanał Sueski jest symbolem pokoju i międzynarodowej współpracy.** Decyzją Egiptu, poprzedzoną wielomiesięcznymi pracami oczyszczającymi dno z min, niewypałów i wraków, ta funkcja kanału zostaje przywrócona. Przed ośmiu laty zablokowała go agresja izraelska, teraz otwiera dążenie Egiptu do trwałego pokojowego rozwiązania konfliktu bliskowschodniego. Jest to więc **gest dobrej woli,** mający duże znaczenie polityczne. Od Izraela zależy, czy ten fakt wyprowadzi problem bliskowschodni z zastoju i pomoże go rozstrzygnąć.

* * *

Innym wydarzeniem tygodnia jest **pierwsze w historii W. Brytanii referendum,** którego tematem było pozostanie czy też niepozostanie tego kraju w EWG. W referendum wzięło udział ponad 60 proc. uprawnionych do głosowania, a spośród nich 67 proc. odpowiedziało: tak, W. Brytania pozostanie więc we Wspólnym Rynku.

Takiego wyniku można było oczekiwać. Do EWG wprowadził Anglię konserwatywny rząd Heatha: Nowe kierownictwo Partii Konserwatywnej nie zmieniło zdania. Ewolucję przebyła natomiast Partia Pracy. W październiku 1972 roku, kiedy to na temat przystąpienia W. Brytanii do EWG toczyła się dyskusja w parlamencie, labourzyści byli w opozycji. Teraz rząd Wilsona zapowiedział poparcie dla kontynuowania członkostwa. Spośród 23 ministrów tego gabinetu jedynie 7 było odmiennego zdania.

Kto więc wygrał referendum — Wilson, który w tej sprawie dokonał zadziwiającego zakrętu, czy Partia Konserwatywna, która pozostała wierna swemu stanowisku?

Postawiliśmy to pytanie, chociaż **batalia rozgrywa się nie między partiami, a w wewnętrznym układzie Partii Pracy.** Wynik referendum ułatwi Wilsonowi przegrupowanie sił, ale nie kończy wewnętrznych podziałów. Najzacieklejsi przeciwnicy EWG wywodzą się przecież z jego partii.

Stosunki W. Brytania — EWG mają długą i burzliwą historię i **należy wątpić, czy 5 czerwca ją zakończył.** Kraj przeżywa duże trudności gospodarcze, na które głównym lekarstwem nie jest pozostanie, czy też opuszczenie EWG. **Są nim reformy** i to głębokie. Jeśli nie zostaną one przeprowadzone — nawiedzające wciąż świat kapitalistyczny kryzysy tutaj załamywać się będą szczególnie dotkliwie.

WITOLD SŁAWSKI

TEATR

NIE WSZYSTKO CO KAMERALNE...

Kiedy wchodzi się na sceno-widownię, a de facto foyer, Teatru Powszechnego, niestety nie czuje się owej atmosfery kameralności, ani intymności, brakuje nawet tego specyficznego zapachu teatru, który po podniesieniu kurtyny, emanuje ze sceny. Jest tylko atmosfera wyczekiwania i zaciekawienia. Czy jednak owo wyczekiwanie będzie nagrodzone, a zaciekawienie spotęgowane? To zależy czego widz oczekuje od teatru i co go zaciekawia, a także co teatr poprzez scenę kameralną chce widzowi powiedzieć. Wobec tego potrzebny jest dialog; dialog, który stanowi podstawę egzystencji teatru. I tylko teatr jest winien, kiedy taki dialog zostaje zerwany. Nie chodzi oczywiście o wątłą nić porozumienia, która polegać ma tylko na kokietowaniu określonego widza, albowiem wtedy dialogu nie ma i być nie może, ale chodzi o pełnię kontaktu. Wiadomo doskonale, że nawet pękająca w szwach widownia może być obojętna, skoro i teatr jest obojętny i zimny.

Spektakl sztuki Wiesława Myśliwskiego „Złodziej" posiada wszystkie walory, aby być gorącym i wciągającym widza. Wiąże się to zarówno z samym dramatem, jego problematyką i formą, jak i kompozycją poszczególnych propozycji aktorskich. A jednak gdzieś — w czasie i przestrzeni — zakomponowanej sceno-widowni rozpływają się te wartości, które odbiorcę trzymają w napięciu ciągłego z nim dialogu.

Jak to się stało, że spektakl tak interesujący aktorsko, zniknął za murem niezrozumienia i obojętności. Odpowiedzi udzielić może tylko reżyser, który jest jednocześnie autorem kompozycji przestrzeni. Spróbujmy jednak poszukać własnej odpowiedzi, odpowiedzi odbiorcy spektaklu.

Postacie zbudowane przez aktorów są ściśle związane z poetyką dramatu Wiesława Myśliwskiego, są bowiem rodzajowe, pełnokrwiste, niemal rubaszne w swej kompozycji gestyczno-ruchowej. Najsilniej uwidocznia się to w interpretacji MIROSŁAWA SZONERTA (Ojciec), WŁODZIMIERZA SAARA (Szczepan) i BOGDANA WISNIEWSKIEGO (Walek). Bardziej stonowani w działaniu są ANDRZEJ ŁĄGWA (Michaś), HALINA BILLING (Matka), CZESŁAW PRZYBYŁA (Złodziej).

Konwencja przestrzenna, która została narzucona aktorom kłóci się ze stylistyką przyjętą przez zespół i ogranicza możliwości pełnego wykorzystania środków wyrazu, jakimi dysponuje aktor. Ruch i gest sceniczny jest kompozycyjnie bliski „dużej" scenie i tam wystawiony „Złodziej" Wiesława Myśliwskiego nabrałby zupełnie innych znaczeń i wartości estetycznych. Albowiem teatr intymny, kameralny przez swoją „ciszę" może być właściwie odebrany w topografii sceno-widowni Teatru Powszechnego.

Widoczne są także daleko idące zabiegi „dokrojenia" sztuki Wiesława Myśliwskiego do wymogów Sceny Kameralnej. „Dokrojenia" te polegają na ogromnych skrótach i zmianie zakończenia, które w propozycji reżysera Jerzego Hoffmanna ma otrzymać wymiar ogólniejszy, bardziej uniwersalny. Jest to oczywiście prawo inscenizatora do przekazania swojej idei za pomocą sztuki, którą uprawia. Można jedynie wyrazić wątpliwości, czy propozycje uniwersalizujące nie pozbawiły dramatu scenicznego waloru intymnej tragedii jednostki. A więc jeszcze bardziej skierowały formę „Złodzieja" w kierunku dużej sceny.

Kiedy czyta się „Przygotowania" Jerzego Hoffmanna (vide program) wszystko wydaje się jasne, przejrzyste metamorficznie możliwe. I Scena Kameralna staje się Pustą Przestrzenią Peter Brook'a, i zdarzenie dramatyczne ma coś ze snu i rzeczywistości. Ale, jak pisał Wiesław Myśliwski w „Pałacu": „Często nachodzi mnie jakieś dotkliwe uczucie, że człowiek powinien do czegoś przyznać się przed sobą, bo coś jednak wciąż ukrywa."

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

Wiesław Myśliwski „Złodziej", reżyseria i kompozycja przestrzeni: Jerzy Hoffmann, premiera 23 lutego 1975 roku na Scenie Kameralnej Teatru Powszechnego w Łodzi.

WATERGATE (I)

UCIECZKA DO KALIFORNI

ANDRZEJ BLAJER

Dalszy ciąg ze str. 1

amerykański, ale również wobec prezydentury Nixona, wtrącając USA w poważny kryzys rządowy.

„Jak mogło się to wydarzyć? Kogo należy winić?" — Te retoryczne pytania zadał sam **Richard Nixon** 30 kwietnia 1973 roku, gdy po raz pierwszy wygłosił przemówienie do narodu na temat Watergate. Odpowiedzi na nie próbowała znaleźć specjalna komisja Senatu pod przewodnictwem **Sama Irvina**, prokuratorzy **Archibald Cox** i **Leon Jaworski**, sędzia **John Sirica**, dziennikarze z **„Washington Post"**, którzy nadali aferze tak wielkiego rozgłosu — **Carl Bernstein** i **Bob Woodward** (autorzy książki „All the President's Men") oraz prawie całe społeczeństwo amerykańskie. Efekty tych poszukiwań kosztowały prezydenta utratę fotela, a wielu jego najbliższych współpracowników — eksponowane stanowiska. Spróbujmy więc i my w kilkuodcinkowym cyklu prześledzić rozwój tej największej afery politycznej w historii USA, która zaczęła się zupełnie niewinnie, a która swym zasięgiem i konsekwencjami przeszła wszelkie oczekiwania.

* * *

17 czerwca 1972 roku, około godziny 2.30, strażnik **Frank Wills**, jak co noc dokonywał obchodu korytarzy budynku Watergate. Ale tym razem jego ucho wychwyciło jakieś podejrzane szmery dochodzące z VI piętra. Tak, nie mogło być wątpliwości: w pomieszczeniach Demokratów byli włamywacze!

Frank Wills natychmiast pobiegł do najbliższego telefonu. **„Tu, do Watergate włamali się gangsterzy"** — krzyczał do słuchawki, meldując centrali policji swoje obserwacje. **„Ilu?" — „Tego nie wiem. Ale włamali się bezpośrednio do biura Komitetu Wyborczego Partii Demokratycznej. Przyjeżdżajcie, jak najszybciej!"** Kilka chwil później ulicami pogrążonego we śnie Waszyngtonu pędziły samochody policyjne w kierunku Watergate. Włamywacze, na swoje nieszczęście, zbyt późno zorientowali się w sytuacji i po krótkiej walce z policją zostali obezwładnieni. Było ich pięciu. Po sprawdzeniu personaliów okazało się, że ich szefem był podpułkownik **James W. McCord**, długoletni współpracownik CIA i FBI, aktualnie pełniący funkcję doradcy do spraw bezpieczeństwa w Komitecie na Rzecz Reelekcji Prezydenta. Był on zarazem bliskim współpracownikiem **Johna Mitchella**, szefa owego komitetu.

Obok McCorda, na pryczach w areszcie posterunku policji siedziało czterech innych agentów CIA. Byli to: **Bernard L. Barkier** i **Frank Sturgis** — obaj uczestniczyli w 1961 roku w inwazji na Kubę oraz **Eugenie R. Martinez** i **Virgilio R. Gonzales** — uchodźcy kubańscy. Kapitan policji, który ich przesłuchiwał, był wściekły. **„Cholera, że też akurat mnie się to musiało przytrafić"**. Czekało go bowiem wiele nieprzyjemnych niespodzianek. W toku wstępnych ustaleń okazało się, iż aresztowani wcale nie mieli zamiaru niczego ukraść, wprost przeciwnie — mieli zamiar „coś" zostawić. To „coś" — to różnego typu elektroniczna aparatura, specjalne kamery i urządzenia instalacji podsłuchowej. Jeszcze tej samej nocy, zaledwie w kilka godzin po telefonie Willsa FBI przyłączyła się do śledztwa. Ale sprawa włamania stała się już zbyt głośna, aby można było ją zatuszować. Rano była już o wszystkim powiadomiona prasa. Poranne wydania dzienników sympatyzujących z Partią Demokratyczną doniosły już na swych szpaltach o tym, co wydarzyło się w nocy, podając równocześnie nazwiska wszystkich pięciu uczestników włamania.

Niebawem do tego niewielkiego jeszcze kręgu doszły nowe osoby, których związki z aferą Watergate były niepodważalne. Do nich należał m. in. **Howard Hunt**, długoletni agent CIA, a ostatnio doradca prezydenta do spraw zwalczania handlu narkotykami. Okazało się, iż jeden ze świadków włamania widział go w pobliżu Watergate. Był on, jak później ustalono, odpowiedzialny za transport urządzeń i aparatury, którą miano zamontować w głównej kwaterze Demokratów. Po wpadce swoich kompanów zdołał jednak uciec. Innym człowiekiem, na którym spoczywało zadanie finansowego zabezpieczenia akcji, był urzędnik FBI, **George G. Liddy**, będący również doradcą prezydenta, jak i członkiem Komitetu na Rzecz Reelekcji. Akcja ta była bowiem finansowana ze specjalnego funduszu wyborczego, nad którym **John Mitchell** i były minister **Maurice Stans** powierzyli pieczę **Liddy'emu**, aby ten zakupił odpowiedni sprzęt i opłacił ludzi. Rankiem 17 czerwca okazało się, iż człowiekiem najbardziej skonsternowanym całą sprawą nieudanego włamania był **John Mitchell**. Wydawało mu się, że akcja musi się powieść, zaangażowano przecież ludzi z długoletnim, bogatym doświadczeniem w CIA lub FBI. Tymczasem dali się złapać, w sieci znalazało się przy tym dwóch ludzi należących do „góry" Komitetu, tj. **McCord i Hunt**. Takiego obrotu sprawy były minister sprawiedliwości nie przewidywał. Kiedy więc dowiedział się telefonicznie o tym, co zaszło, zupełnie stracił głowę, spakował mianowicie kilka walizek i wraz z żoną wystartował samolotem w kierunku Newport Beach, kąpieliska w Kalifornii położonego na południe od Los Angeles. Aby tylko być, jak najdalej, od tego co działo się w stolicy!

To nagłe zniknięcie Mitchella poważnie zaniepokoiło waszyngtońską centralę FBI, obawiano się bowiem, iż paniczna ucieczka szefa sztabu wyborczego Republikanów może spowodować jeszcze więcej nieszczęść. **Patrick Gray**, nowy urzędujący od niedawna dyrektor FBI (wyznaczony na miejsce zmarłego Hoovera) udał się w towarzystwie swoich najbliższych współpracowników do Newport Beach z bardzo delikatną misją do swego starego przyjaciela. Całej grupie udało się niezauważenie zakwaterować w hotelu „Newport Inn".

Dalszy przebieg wypadków nie był pozbawiony pewnej swoistej pikanterii, w centrum uwagi znalazła się bowiem **Martha Mitchell**, żona byłego ministra sprawiedliwości. Będąc znacznie młodsza od swego 70-letniego męża, była od dawna znana z różnych ekstrawagancji. Kiedy jej mąż został mianowany ministrem sprawiedliwości i stał się formalnym zwierzchnikiem FBI, przydzielono mu stamtąd kilku urzędników do tzw. osobistej ochrony. Martha traktowała ich wszystkich, jak swoją służbę. Tygodnik „Life" zamieścił nawet na swych łamach zdjęcie ukazujące agenta FBI przynoszącego pani ministrowej śniadanie do łóżka. Wszystkie wydawane przez nią polecenia musiały być skrupulatnie wykonywane. I oto, po przybyciu do hotelu „Newport Inn" Martha Mitchell opowiada przez telefon o tej nagłej podróży jednej ze znanych sobie dziennikarek. Pada tam słowo Watergate. W tym samym momencie do pokoju wpada **Steve King**, były gorył Mitchella, który przybył obecnie do Newport wraz z Grayem. Jednym wprawnym pociągnięciem wyrywa sznur telefoniczny z gniazdka na ścianie. Martha zaczyna histerycznie krzyczeć, po raz pierwszy bowiem sprzeciwiono się jej woli i to tak brutalnie. Nie bez trudności, bo z pomocą czterech innych agentów udaje się wreszcie Kingowi „uspokoić" żonę byłego ministra.

Tymczasem John Mitchell składa 19 czerwca oświadczenie dla prasy, w którym patetycznym tonem oznajmia, iż Partia Republikańska nie ma nic wspólnego z włamaniem do Watergate. **„Jego sprawcy — oświadcza — nie działali, ani z naszego polecenia, ani za naszą zgodą"**. W podobnym duchu wypowiada się również prezydent Nixon: **„Biały Dom nie ma najmniejszego związku z całym tym incydentem"**. Toteż nieco dziwnym musiało się w takim kontekście wydać opinii publicznej, nie znającej jeszcze zupełnie tła sprawy Watergate, oświadczenie Mitchella, złożone 1 lipca 1972 roku. Wynikało zeń, iż rezygnuje z funkcji w Partii Republikańskiej, motywując ten krok chęcią **„całkowitego poświęcenia się żonie i sprawom rodzinnym"**. Tymczasem afera zaczyna zataczać coraz szersze kręgi.

HIPOTEZY

ERICH von DÄNIKEN

STAROINDYJSKIE TEKSTY

Niepowstrzymana ciekawość ciągnęła mnie zawsze do staroindyjskich ksiąg. Jakąż ogromną ilość fascynujących i tajemniczych informacji o maszynach latających i fantastycznych typach broni używanych w zamierzchłej przeszłości można znaleźć w tłumaczeniach hinduskiej Wedy oraz wielu poematów epickich. Stary Testament ze swymi żywymi i pełnymi wigoru opisami bledne przy tych indyjskich klejnotach.

Moja chęć poznania tekstów źródłowych wzrosła jeszcze na skutek bardzo przypadkowego spotkania. Po wykładzie, który wygłosiłem dla niewielkiej grupki słuchaczy w Zurychu w roku 1963, podszedł do mnie pewien student z Indii i powiedział z rozbrajającą szczerością: „Czy rzeczywiście wydaje się panu, że w tym, co pan nam powiedział jest coś nowego lub szokującego? Każdy trochę tylko wykształcony mieszkaniec Indii zna główne części Wedy, a więc wie też, że bogowie w dawnych czasach jeździli w maszynach latających i mieli straszliwe rodzaje broni. Naprawdę, każde dziecko w Indiach o tym wie".

W gruncie rzeczy ten młody, miły chłopiec pragnął jedynie potwierdzić moją teorię, jak też być może, jednocześnie mnie uspokoić, bo łatwo się podniecam roztrząsaniem mego ulubionego tematu. Osiągnął jednak przeciwny od zamierzonego skutek.

W następnych latach utrzymywałem raczej jednostronną korespondencję z uczonymi indyjskimi, specjalistami od sanskrytu. Na moje szczegółowe pytania ludzie ci dawali bardzo [illegible] odpowiedzi i przysyłali mi fotokopie pisanych sanskrytem tekstów, których nie byłem w stanie odczytać. Jedyną korzyść z tej obsesji korespondowania odnieśli moi przyjaciele, którzy zbierają znaczki. Stare teksty indyjskie nie dawały mi spokoju; musiałem udać się do Indii.

Jesienią 1968 roku poleciałem samolotem do Bangalore, stolicy południowego stanu Mysore. Bangalore jest ośrodkiem oświatowym południa Indii. Jednakże z początku wcale tego nie zauważyłem.

(W tym miejscu Daeniken przechodzi do opisu wrażeń jakie na nim wywarła wizyta w Bangalore).

Uniwersytet w Bangalore, który korzysta z pomocy ośrodków zagranicznych, jest wspaniale wyposażoną placówką naukową, pełną ludzi zapatrzonych w przyszłość. Profesorowie i studenci razem pracują nad rozwiązywaniem problemów naukowych.

Specjaliści zajmujący się sanskrytem, tacy jak Ramesh J. Patel z Ośrodka Kulturalnego w Kahrab i T.S. Nandi z uniwersytetu w Ahmedabad, poświęcili mi wiele ze swego cennego czasu. Wystarczał zazwyczaj jeden telefon dla ustalenia miejsca i czasu rozmowy.

Pytałem ich o wiek Wedy i poematów epickich. Uczeni byli jednomyślni, twierdząc, że Mahabharata, narodowy epos indyjski o długości przekraczającej 160 000 wierszy, musiał powstać w swej obecnej formie około 1500 lat p.n.e. Kiedy jednak zapytałem o wiek samego jądra poematu, w odpowiedzi usłyszałem, że pochodzi ono albo z 7016 albo 2604 roku p.n.e. Niezwykła precyzja w podawaniu tych dat, tak odległych w czasie, była możliwa dzięki temu, że w opisie zawartej w poemacie bitwy jest wzmianka o pewnej określonej konfiguracji gwiazd. Pomimo tych danych astronomii, specjaliści jeszcze nie są zgodni co do wieku poematu. Podobnie jak to jest ze Starym Testamentem, nieznany jest autor Mahabharaty. Podejrzewa się, że jego twórcą jest Vyasa — postać legendarna. Twierdzi się także z dużą dozą pewności, że ostatni narrator, Sauti, przygotował też pierwszą pełną wersję pisaną.

Dla użytku matematyków, którzy będą musieli wprowadzać do komputerów dane potrzebne do obliczenia różnic czasowych (względna szybkość upływu czasu) występujących przy podróżach międzygwiezdnych, mogę podać dwie liczby, które zanotowałem sobie w Bangalore. W eposie Mahabharata 1200 lat boskich równa się 360 800 latom ludzkim.

Jakże byłem wściekły, że nie potrafiłem czytać tekstów napisanych sanskrytem! Jedyną moją nadzieją był profesor T.S. Nandi, z którym korespondowałem jeszcze w Szwajcarii. Udałem się do niego po pomoc i przez niego poznałem profesor Esther Abraham Solomon z Ahmedabad, która posiada ogromny zasób wiedzy na temat sanskrytu.

(Daeniken opisuje dalej miasto Ahmedabad i znajdującą się tu atrakcję turystyczną, tzw. drgające wieże. Są to dwa wysokie minarety meczetu, na szczyt których prowadzą kręcone schody. Wieże te mają szczególną właściwość. Jeśli grupa ludzi wprawi jedną z nich w ruch przy pomocy rytmicznych ruchów w tył i w przód, druga wieża zacznie się sama kołysać w podobny sposób. Jak dotąd obie wieże dobrze znoszą wyczyny turystów).

Rozmowa z profesor Solomon odbywała się po angielsku; otrzymałem pozwolenie na nagranie jej na mym przenośnym magnetofonie. Oto jej treść.

— Pani profesor, czy mam rację twierdząc, że znawcy sanskrytu uważają, iż staroindyjska Weda oraz poematy epickie są starsze od Starego Testamentu?

— Nie możemy i nie powinniśmy wygłaszać takich absolutnych stwierdzeń. Nie można dokładnie określić ani wieku staroindyjskich tekstów, ani wieku Starego Testamentu. Chociaż coraz bardziej skłonni jesteśmy określić rok powstania najstarszych części Mahabharaty na około 1500 lat p.n.e., jest to bardzo ostrożny szacunek odnoszący się do najstarszej, centralnej części eposu. Oczywiście, wiele innych części było dodanych i rozwiniętych w początkach naszej ery. Trzeba jednak być bardzo ostrożnym przy próbach określania ich wieku. Zasadnicze jądro Mahabharaty może też z powodzeniem być o kilkaset lat wcześniejsze od 1500 roku p.n.e. Wie pan, że najstarsze teksty pisane były na korze drzew palmowych; jednak przed powstaniem tekstów na korze palmowej istniały one przez całe pokolenia w przekazach ustnych. Spotyka się także napisy wykute w kamieniu, lecz są one stosunkowo rzadkie w Indiach.

— Czy w swojej pracy natknęła się pani na podobieństwa między tekstem Starego Testamentu a tekstami staroindyjskimi?

— Istnieje oczywiście wiele podobieństw lecz moim zdaniem można je zaobserwować w takiej czy innej formie w większości legend różnych ludów, starczy tylko przypomnieć sobie wydarzenia takie jak potop, opowieści o bogach, którzy stworzyli człowieka, o bohaterach, którzy zostali zabrani do nieba, czy też ciągłe wzmianki o rodzajach broni, którą się posługiwali.

— Lecz to właśnie staroindyjskie i tybetańskie teksty pełne są opisów broni jakby żywcem wyjętej z powieści fantastyczno-naukowych. Mam na myśli boskie błyskawice oraz broń miotającą promienie, pewien rodzaj broni „hipnotycznej", podobnej do opisanej w Mahabharacie, dysk, którym bogowie rzucali i który wracał do nich jak bumerang. Myślę także o tekstach, które wydają się opisywać broń bakteriologiczną. Co pani o tym myśli?

— Są to po prostu wyolbrzymione wersje zmyślonych opisów rzekomych istot boskich. Ludzie starożytni odczuwali bez wątpienia potrzebę otaczania swych wodzów i królów aurą tajemniczości i mistycyzmu. Z pewnością wymyślili dla nich owe niewiarygodne i nieprześcignione atrybuty dużo później, mnożąc ich ilość wraz z każdym nowym pokoleniem.

— W indyjskich i tybetańskich tekstach ciągle spotyka się opisy obiektów latających zwanych wimana. Co pani o nich myśli?

— Szczerze mówiąc, nie wiem, co o nich myśleć. Opisy mówią, bez wątpienia o czymś podobnym do samolotów, w których bogowie staczali powietrzne walki.

— Czy, w takim razie, możemy lub też powinniśmy przyjąć te opisy za mity i pozbyć się w ten sposób problemu?

Profesor Solomon pomyślała przez chwilę, zanim, prawie z rezygnacją odpowiedziała twierdząco.

— Przypuśćmy jednak, że teksty te są opisami bardzo dawnych lecz rzeczywistych wydarzeń...

— Ależ to fantazja!
— Czy jednak niemożliwa?
— Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Kiedy powróciłem po skończonej rozmowie do hotelu, na chybił trafił otwarłem książkę z tekstem Mahabharaty i oto, co znalazłem:

„Brighu, zapytany o rozmiary namiotu niebieskiego, odpowiedział:

„Nieskończona jest ta przestrzeń zamieszkana przez błogosławionych i bogów, cudna jest ona, usiana wieloma mieszkaniami, a jej granice są nieosiągalne.

Powyżej jej sfery władzy i poniżej nie widać już słońca ani księżyca; tam bogowie są swym własnym światłem, świecącym jak słońce, błyskającym jak ogień.

I nawet oni nie widzą granicy ogromnego rozprzestrzenienia namiotu niebios, ponieważ trudno do niej dotrzeć, ponieważ jest bezkresna... Lecz wyżej i jeszcze wyżej, ten wszechświat, który nie może nawet przez bogów być zmierzony, wypełniony jest płonącymi, samoistnie oświetlającymi się istotami".

Opracował: B. KRAKOWIAN

OPOWIADANIA

Dorobek przedwcześnie zmarłej w 1964 roku amerykańskiej pisarki, Flannery O'Connor nie jest zbyt wielki. Zostało po niej ponad trzydzieści opowiadań i dwie powieści, ale wystarczyło to, aby została zaliczona do najciekawszych postaci w literaturze światowej. Zdecydowała o tym niezwykła ostrość widzenia ludzi, gorycz i pesymizm, wnikliwość psychologicznych dociekań, które to cechy charakteryują jej prozę. Flannery O'Connor pochodziła z Południa, ze stanu Georgia i galeria bohaterów jej opowiadań, tkwiących w atmosferze fanatyzmu religijnego, podłości wynikającej z wynaturzeń osobowości ludzkiej, prowadzących do zbrodni, to z pewnością efekt obserwacji i doświadczeń wyniesionych ze stron rodzinnych.

W serii Współczesna Proza Światowa ukazał się tom złożony z dziewięciu opowiadań tej pisarki, pierwszy ukazał się w tej samej serii pięć lat temu. Opowiadania przełożone przez Marię Skibniewską pochodzą z tomu „The Complete Stories", który ukazał się w roku 1972, dzięki staraniom wieloletniego wydawcy i przyjaciela pisarki, Roberta Giroux.

Flannery O'Connor „W pierścieniu ognia", PIW, Warszawa, 1975, str. 242, cena zł 35.—

W IMIENIU MURZYNÓW

„Chciałem z pierwszej ręki dowiedzieć się czegoś o ludziach, którzy z murzyńskiej rewolucji czynią jedno z najbardziej dramatycznych wydarzeń w dziejach". Tak mówi Robert Penn Warren, autor wydanej ostatnio przez PIW książki „W imieniu Murzynów". Twórczość tego poety, powieściopisarza i krytyka amerykańskiego mieliśmy już okazję poznać. Jego największe dzieło pokazujące przemianę działacza politycznego, który startuje jako zaangażowany ideowo bojownik o sprawiedliwość społeczną, a kończy jako żądny władzy i nie liczący się z nikim dyktator, to oczywiście „Gubernator", cieszący się w Polsce zasłużoną poczytnością. Pisarstwo Roberta Penn Warrena zawsze koncentrowało się wokół problematyki społeczno-politycznej, tak jest i tym razem. Tworząc swoją książkę „W imieniu Murzynów" pracował najczęściej z magnetofonem. Stąd autentyzm tego społeczno-politycznego obrazu rewolucyjnych nurtów i dążeń murzyńskiej części społeczeństwa amerykańskiego. Powstał dokument, z którym każdy interesujący się rzeczywistością współczesnego świata, czytelnik powinien się zapoznać.

Robetrt Penn Warren „W imieniu Murzynów", przełożył A. Kaska, PIW, Warszawa 1975, str. 540, cena zł 60.—

Z PRZYSZŁYM NOWIEM

W roku 1968 ukazała się w Polsce powieść „Muzyka niebieskiej studni". Jej autorka, norweska pisarka Torborg Nedreaas, zdobyła sobie uznanie tuż po wojnie, kiedy to w roku 1945 ukazał się tom jej nowel. Polski czytelnik otrzymał ostatnio drugą powieść pisarki — „Z przyszłym nowiem". Torborg Nedreaas bardzo często nawiązuje w swojej twórczości do lat I i II wojny światowej. Podobnie jest i w tej powieści, której akcja toczy się w latach 1917—1922 w Bergen i Kopenhadze. Tym razem echa politycznych wydarzeń i związane z nimi procesy społeczne pokazane są poprzez dziecięce widzenie świata. Bohaterką książki jest bowiem dojrzewająca dziewczynka. Jej spojrzenie na świat ludzi dorosłych, na codzienne wydarzenia i sprawy, to specyficzna interpretacja rzeczywistości, możliwa tylko wtedy, gdy się ma lat kilkanaście. I to właśnie jest najistotniejszym walorem powieści norweskiej pisarki.

„Z przyszłym nowiem" to kolejny przekład w serii Dzieł Pisarzy Skandynawskich.

Torborg Nedreaas „Z przyszłym nowiem", przełożył A. M. Kołaczkowski, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1975, str. 180, cena zł 28.—

DZIEWCZYNA NA GŁĘBINIE

Powieść ukazała się w roku 1955, i od tego czasu cieszy się w Finlandii niesłabnącym zainteresowaniem czytelników. Była tam kilkakrotnie wznawiana, a krytyka zaliczyła ją do rzędu najwybitniejszych dzieł współczesnej prozy fińskiej. Co złożyło się na popularność „Dziewczyny na głębinie"? Przede wszystkim tematyka. Opowieść o ludzkim życiu, pokrętnym i trudnym, o zwykłych sprawach zwykłych ludzi, którym los nie szczędzi przeciwności i trudu, a rzadko tylko obdarza szczęśliwszą chwilą, zawsze będzie pasjonowała czytelnika. Dodajmy do tego przejrzyście nakreślone tło społeczno-obyczajowe, trafność psychologicznych obserwacji i wyraziste dzięki temu postacie głównych bohaterów. To wszystko składa się na sukces powieści, a trzeba dodać, że „Dziewczyna na głębinie" była także tłumaczona na wiele języków.

Autorką powieści jest Eeva Joenpelto (Hellemann), urodzona w 1921 roku, współczesna pisarka fińska. Debiutowała w roku 1950, a na swoim koncie, poza kilkoma powieściami, ma także utwory sceniczne.

Powieść ukazała się w serii Dzieł Pisarzy Skandynawskich.

Eeva Joenpelto „Dziewczyna na głębinie", przełożyła K. Manowska, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1975, str. 244, cena 35 zł.

GDZIE SĄ KOLIBRY

Pisaliśmy już na tym miejscu o interesującym przedsięwzięciu Wydawnictwa „Książka i Wiedza", jakim z całą pewnością jest kieszonkowa seria „Kolibra". Oczywiście chodzi o nowego „Kolibra", który w przeciwieństwie do starej, nieudanej graficznie, serii (remanenty sprzedawano na majowym kiermaszu po 50 groszy) ma nieco większy format, twardą i interesującą graficznie okładkę. Te zmiany nie wpłynęły na charakter serii — w dalszym ciągu może to być wygodna lektura w podróży, nie zmieniły również wysokiego poziomu prezentowanej prozy. Dodatkowy plus nowego „Kolibra" to fakt, że na pewno wielu czytelników ma ochotę kompletować kolejne tomiki w swojej bibliotece. Wydawca nawet pomaga w systematycznym uzupełnianiu zbioru — na okładce każdej książeczki umieszcza informacje, jakie tytuły ukażą się w najbliższym czasie. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie jedno „ale". W tym wypadku zasadnicze. Licho wie, gdzie tych nowych „Kolibrów" szukać. Na początku nie było problemu, było ich sporo w kioskach „Ruchu". Teraz trzeba urządzić prawdziwe polowanie, jeden kiosk dostaje, drugi nie. „Prawdziwego mężczyznę" Franka O'Connora, bodaj najnowsza pozycja, kupiliśmy wprawdzie w kiosku, ale był to jedyny egzemplarz tego tytułu, jaki sprzedawca otrzymał. Podobnie ma się rzecz z księgarniami. I tam „Kolibry" spotyka się nader rzadko. „Prawdziwy mężczyzna" jest 21 pozycją serii. Jako 19 ukazała się „Niedobra miłość" Zofii Nałkowskiej. Nie udało nam się jej zakupić. Być może, za pół roku, w jakimś kiosku poczciwy sprzedawca wyciągnie ją spod stertv papieru toaletowego i mydła, tak jak ostatnio ujawnił „Martwą Pasiekę" J. Iwaszkiewicza, której druk zakończono w listopadzie 1973 roku.

B.M.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

KSIĄŻKI ŁÓDZKICH BIBLIOFILÓW

Niedawno wpadło mi w ręce nader interesujące zestawienie opracowane przez p. Jerzego Andrzejewskiego — bibliofila młodszego już pokolenia niż to, które ruch bibliofilski rozpoczęło w Łodzi w latach dwudziestych i trzydziestych. Pasjonująca jest lektura tego wykazu — z pozoru suchego i beznamiętnego. Zawiera on bowiem wszystkie te przedziwne i przepiękne druki, jakie — głównie z inicjatywy Michała Kuny — powstały w ramach działalności Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki.

Zestaw publikacji Łódzkiego Towarzystwa Miłośników Książki rozpoczyna się datą — 1958. Wydano wówczas skromniutką książeczkę Henryka Maszewskiego „O bibliofilstwie, snobiźmie i pewnych przejawach antybibliofilskich". Dziś to już nie byle jaki rarytas — jako że książeczkę wydano w nakładzie 30 egzemplarzy.

Już w roku następnym do akcji wydawniczej wkracza Michał Kuna i Stanisław Kołodziejczyk z katalogiem pierwszej mikroaukcji bibliofilskiej, do której wstęp napisał Henryk Maszewski. Tym razem wydano 50 egzemplarzy i nadal była to jeszcze zabawa w bardzo ścisłym gronie. Ale już druk zaopatrzono w oryginalne exlibrisy, ozdobiono też reprodukcją obrazu Jerzego Krawczyka.

Trzecią pozycją wydawniczą Łódzkiego Towarzystwa Miłośników Książki, które wciąż jeszcze nosiło nazwę Klubu Miłośników Książki, działając przy Stowarzyszeniu Bibliotekarzy Polskich — była praca Jadwigi Siniarskiej-Czaplickiej. Przypominam ten druk nie dlatego, że postanowiłem wymienić trzy pierwsze publikacje łódzkich bibliofilów. Przypominam ten druk dlatego, że praca Siniarskiej jest właściwie pierwszą publikacją, która już przekracza próg półprywatnej zabawy.

Po pierwsze jest to niezwykle cenne opracowanie historyczne dotyczące znaków wodnych mazowieckich papierni w latach 1750—1850. Całe stulecie produkcji papierniczej zostało w tej książce zawarte i pieczołowicie zdokumentowane. Ponadto zawierała ona ponad sto tablic, mapy — miała już nakład 120 egzemplarzy, a okładkę wykonano z wysokiej klasy papieru czerpanego.

I dalej już poszły za tą publikacją książki i druki całą gębą. Jak na przykład „Joachima Lelewela odpowiedź na ankietę historyczną François Guizota". Z nie znanego dotychczas francuskiego autografu przełożył ten ciekawy dokument przeszłości prof. Marian Henryk Serejski — zaopatrzył też w komentarz i wstęp. Druk ten, niewielki, bo liczący 28 stron, ale jakże cenny, wydano wspólnie z Ossolineum w nakładzie 600 egzemplarzy.

Widać więc jak z biegiem lat rośnie zarówno ciężar gatunkowy publikacji bibliofilskich, jak i ich nakład, a także wystrój graficzny i poligraficzny.

Do ciekawszych pozycji o wybitnych walorach artystycznych należy choćby teka exlibrisów Teofila Jóźwiaka, rytowanych w miedzi, niezwykle pięknych, sygnowanych przez artystę, tłoczonych na czerpanym papierze. Tekę exlibrisów Jóźwiaka wydali bibliofile w nakładzie 100 egzemplarzy, ale też dziś jest to rarytas nie tylko bibliofilski, lecz i handlowy. Cena owej teki sprzed 11 lat sięga dziś zawrotnych sum.

Z dotychczasowych publikacji Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki najwyższy, jak dotąd nakład, osiągnął informator „Biblioteki Łodzi". Ten cenny przewodnik wydano w nakładzie 2800 egzemplarzy. Była to, oczywiście, książka potrzebna — wydano ją zresztą pięknie i elegancko — niemniej głównym celem działalności wydawniczej bibliofilów pozostały „białe kruki".

Tym umownym zwrotem określam książki, broszury i ulotne druki, wydawane w małych nakładach, z ogromną dbałością o p i ę k n o. Właśnie piękno. W naszych pośpiesznych czasach dawno się już książek nie d r u k u j e. Książki się p r o d u k u j e. Szybko, często niechlujnie.

Ogromną zasługą Michała Kuny, który jest duszą i wykonawcą większości owych druków, jest to, że książce przywraca rangę piękna. Że chce widzieć druk artystyczny, pełen dbałości o f o r m ę.

Z tego umiłowania pięknego druku, który nie chce przestać być sztuką, rodzą się owe wiersze — książki: „Poeta robotnik" — Majakowskiego, „Dwa wiersze do matki" — Broniewskiego, „Puch ostu" — Sztaudyngera. Nie książki, bo zbyt małe, nie ulotki, bo zbyt piękne, po prostu — druki bibliofilskie.

W przejrzanych przeze mnie wykazie znajduje się 35 pozycji. Trzydzieści pięć pięknych druków bibliofilskich, wydanych w latach 1958—1975. Mało to czy dużo? Bardzo mało, bo marzy mi się coraz więcej takich okazów sztuki drukarskiej. Ogromnie dużo — zważywszy trudności i przeszkody piętrzące się na drodze do realizacji każdej z tych 35 książek. W sumie jednak stanowią one piękny dokument pasji i umiłowania słowa drukowanego. Słowa, które zawsze przemawia najsilniej i najbardziej trwale.

WIDOK

LEWYM OKIEM

TRUDNO, TAKI JESTEM

— Ja to wie pan, niestety jestem zupełnie niepraktyczna. Trudno, taka jestem. Absolutnie niepraktyczna. Po prostu nie znam się na rachunkach — mówi pani siedząca obok mnie w pociągu, gdy mijamy Koluszki.

Jej rozmówca potakuje uprzejmie i jest na pewno bardzo lubiany w towarzystwie, bo będzie tak potakiwał aż do Warszawy Wschodniej. Około Rogowa pani powie (a mówi bardzo głośno i z czytania znów nic nie będzie) — otóż bardzo głośno i z wielkim przekonaniem pani powie: ja tam nie dam się byle komu kiwać i zawsze sobie poradzę. Trudno, taka jestem.

W Skierniewicach: zawsze taka jestem roztrzepana, co to jest — tracę głowę, zapominam, to życie takie nerwowe...

W Radziwiłłowie: grunt to spokój, proszę pana. Ja tam się nie przejmuję. Trudno, taka jestem.

W Żyrardowie: można mieć swoje zdanie, ale przecież trzeba szanować cudze. Ja tam nigdy niczego nikomu nie narzucam. Moim dzieciom też powiedziałam: róbcie jak uważacie, a w ogóle to wie pan jestem tolerancyjna. Kulturalnie trzeba, wie pan, uszanować zdanie innych, prawda...

W Milanówku: ja to taka jestem, proszę pana, że jak ktoś się ze mną nie zgadza to koniec. Może to jest niesłuszne, trudno. Chcesz być ze mną — to proszę bardzo — moje zdanie jest takie. Stanowczo. Trzeba przecież mieć przekonania, ja miałam zawsze i nie zmienię. Taka jestem.

Pani rozmawiała z panem na wiele tematów, ale cały czas wszystko było w pierwszej osobie liczby pojedyńczej z nadużyciem zaimka „ja". Torturą jest mimowolne słuchanie cudzych rozmów, zawsze się te rozmowy wydają głupie, śmieszne, absurdalne. Gdyby wszyscy o tym pamiętali zniknęłyby wreszcie owe bardzo pewne siebie typy rozmawiające zawsze i wszędzie pleno voce, w przekonaniu, że szkoda byłoby, gdyby do kogoś ich cenne słowa nie dotarły. A już potrójną torturą jest wysłuchiwanie takich rzekomo krytycznych autocharakterystyk, takich ciągłych: ja jestem, bo ja to, bo ze mną to wie pan, bo jeśli o mnie chodzi. Cóż to za bełkot zalgany i nieznośny, a wynikający przecież wyłącznie z bezgranicznego samouwielbienia, z krańcowego egocentryzmu, z zadufania godnego pióra Gogola.

Maniera wygłaszania każdego sądu w pierwszej osobie i podkładania siebie jako podmiotu spraw, które się w jakimś tam stopniu reprezentuje, rozprzestrzeniła się szeroko. Dyrektor czy prezes czy naczelnik mówiąc o sprawach najściślej służbowych jakże chętnie i często nie powie na przykład: nasza centrala nie jest zainteresowana tym zamówieniem, nasz wydział pracuje właśnie nad tym i owym, nasze zakłady wykonały plan; nie, on powie właśnie tak: nie interesuje mnie to, pracuję właśnie nad tym i owym, nie zgadzam się, wykonałem plan, tracę na tym sto milionów, nie dopuszczę do tego. Ja, mnie, ja, ode mnie, dla mnie. Kapitalny, śmieszny zadufek, który natychmiast zaniecha owego zaimka „ja", gdy rzecz zacznie nabierać cech negatywnych. Trudno jest powiedzieć: ja nie wykonałem planu. To już lepiej: zakład nasz ma w wykonaniu poślizgi, które zaistniały z przyczyn następujących.

A jeśli o mnie chodzi — to, wiecie, bardzo nie lubię, kiedy ktoś na siłę chce przesłonić sobą perspektywę, kiedy wciąż pcha się na pierwszy plan, na centralne miejsce dla fotografii. Dawniej odczuwano formę „my" jako „pluralis majestatis", dziś ta forma wydaje mi się właśnie skromniejsza, właśnie dająca do zrozumienia, że mówiący jest częścią jakiejś grupy, że nawet mało ważny jest fakt jego osobistego istnienia, bo ktoś inny z tegoż kolektywu, ktoś inny z „nas" — powiedziałby to samo w imieniu „nas".

Trudno, taki jestem. Nie lubię, wie pani, kobiet, które mówią wyłącznie o sobie, a przy tym czynią to w sposób bałaguiarski, sprzeczny, coraz to inny, a zawsze ciemny i bzdurny; i takich mężczyzn, wie pan, też nie lubię. Trudno, taki jestem.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

POSTĘP I RZETELNOŚĆ

Informacja w życiu człowieka odgrywa większą rolę niż to się pozornie może wydawać. Szybko docierająca informacja jest podstawą należycie funkcjonującej organizacji pracy, jest podstawą sprawnego działania każdego człowieka. Te prawdy znają wszyscy, a przecież ciągle jakoś nie potrafimy sobie poradzić z tą najprostszą informacją, która jest nam potrzebna na codzień. Przykładem mogą być nasze książki telefoniczne, ale nie tylko.

Wystarczy uważnie czytać ogłoszenia prasowe publikowane przez łódzkie gazety, aby przekonać się, jak wiele dzieje się w gospodarce, jakie przechodzi ona przeobrażenia, zmiany, reorganizacje. Budowa dzielnic przemysłowych powoduje, że łódzkie fabryki nie tylko zmieniły swoje miejsca, ale nazwy i produkcję. Wiele instytucji przestało już istnieć, połączyły się z innymi, przeniosły się do nowych siedzib. Wiele też przestanie istnieć w najbliższym czasie. Dla kogoś, kto od czasu do czasu coś musi załatwić, gdzieś zadzwonić, kogoś poszukać — kłopot to nie lada. Książka telefoniczna nie wiele mu w tym pomoże. Książka telefoniczna jest bowiem w znacznej części po prostu n i e a k t u a l n a.

Urząd Miasta Łodzi, aby przyjść mieszkańcom, działaczom, pracownikom różnych organizacji i instytucji z pomocą, wydał za pośrednictwem Krajowej Agencji Wydawniczej „INFORMATOR O URZĘDACH I INSTYTUCJACH W ŁODZI". „Informator" — jak to stwierdza zespół redakcyjny, który go opracował — zawiera „dane według stanu na dzień 1 stycznia 1975 roku". W kioskach „Ruchu" ukazał się w maju i wiele adresów, numerów telefonów i innych danych okazuje się znów nieaktualne. Życie zniweczyło dobry zamiar inicjatorów i autorów. Trudno mieć o to do kogokolwiek pretensje, ale też warto byłoby w najbliższym czasie podjąć taką inicjatywę i wydać nową wersję „Informatora", w której znalazłyby miejsce te wszystkie zmiany, jakie wprowadzamy obecnie w życie w związku z reformą administracji państwowej.

Wprawdzie obiecywano niedawno, że pod koniec bieżącego roku ukaże się nowa książka telefoniczna, ale znając tempo wydawania i drukowania tego typu rzeczy, można spodziewać się, że już w chwili jej wydania będzie ona całkowicie nieaktualna. Nie podejrzewam ani przez chwilę, że pocztę stać będzie na to, aby dotrzymać terminu i wydać książkę uwzględniającą te przemiany, jakie obecnie zachodzą.

Niektórzy skłonni są twierdzić, że narastające tempo oraz coraz większy postęp wywołują nieuchronne pogarszanie się jakości produktów. Masowość i popularność są ponoć wrogami dobrego. Co jest masowe i popularne nie może być dobre, musi być złe, musi utrzymywać się na niskim poziomie. Nie jestem co do tego przekonany i podejrzewam, że podobne teorie rodzi chęć usprawiedliwienia nieudolności. Obiektywne trudności zawsze są wygodną wymówką.

Nie wiem jakimi trudnościami tłumaczyć się będzie Wydawnictwo Komunikacji i Łączności, jeśli w ogóle będzie się tłumaczyć, za błędy popełnione w „Rejonowym rozkładzie jazdy Łódź". Niebieska książeczka tego wydawnictwa, zawierająca rozkład jazdy ważny od 1 czerwca 1975 roku do 29 maja 1976 roku, zawsze jest drukiem popularnym i szybko znikającym z kiosków „Ruchu". W poprzednim rozkładzie jazdy stwierdzono p i ę ć poprawek, które trzeba było nanieść sobie na odpowiednie strony rozkładu jazdy pociągów PKP. W tegorocznym wydaniu takich poprawek jest już t r z y d z i e ś c i j e d e n. Szczególne gratulacje za to należą się Józefowi Sadowskiemu, który kierował opracowaniem i korektą.

Na przykład w kilku przypadkach pociągów kursujących okresowo pomylono daty, a w innych — godziny odjazdów. Nie jest to — w przekonaniu PKP — taka wielka różnica, czy pociąg nr 253 odjeżdża z Kalisza o godz. 4.55 czy o 4.45. Powszechnie wiadomo, że pociągi w naszym kraju nie kursują punktualnie, że niektóre mają opóźnienie około 250 minut i więcej, więc w tej sytuacji nie ma co robić awantury o głupie 10 minut. Niekiedy pociągi w ogóle odchodzą ze stacji już z opóźnieniem, a inne nigdy nie przychodzą punktualnie, jak na przykład pociąg Łódź Kaliska — Gdynia, który jedzie przez Kutno, Płock, Brodnicę, Malbork. Być może dlatego w tabeli 420 (poz. 15) jest podana tylko godzina odjazdu tego pociągu z Łodzi Kaliskiej (20.52), a nie ma godziny przyjazdu tego pociągu do Gdyni, bo skoro i tak nie wiadomo kiedy on dotrze do stacji docelowej, to już lepiej ludzi nie wprowadzać w błąd. W końcu ważne jest, aby wsiąść do pociągu, znaleźć wolne miejsce i odjechać. Jakoś tam się zawsze dojedzie.

O PKP napisano już niemal wszystko, ale PKP ma obiektywne trudności i ostro obiecuje sobie z nimi poczynać. Starzy ludzie wprawdzie twierdzą, że kiedyś można było zegarki regulować według czasu kursowania pociągów, ale starym zawsze się wydaje, że to co było dawniej, było lepsze. Może właśnie stąd wzięły się też te teorie o obniżaniu poziomu w miarę postępu i wzrostu tempa życia. Chociaż ja w to jakoś nie mogę uwierzyć. Ciągle wydaje mi się, że postęp ma nam ułatwiać życie, że dzięki postępowi możemy mieć więcej i coraz lepszych rzeczy.

MARCIN RODAK

GŁOS OCHOTNICZY

ŁÓDŹ, CZWARTEK
[illegible]
[illegible] ROK XXX
CENA ZŁOTY

TRZYDZIEŚCI LAT MINĘŁO...

Trzydzieści lat minęło
jak forsa tuż po piątym.
Jesteśmy wciąż przy „Głosie"
choć czasem w gardle bronchit.

Że rym się łamie? Trudno.
Lecz my się nie łamiemy,
szukamy dziury w całym
i nawet – znajdujemy.

Przez miasta i przez wioski,
płynie nasz krzepki „Głos".
Czasem nam rzednie mina
gdy obsobaczy „boss".

Czasem nam serce zalka
na konferencji nudnej
i zamarzymy rzewnie
o wyspie. O bezludnej.

Lecz zaraz nas przywoła
głos szefa gromowładny:
„Realnie i konkretnie
i bez liryki żadnej".

Trzydzieści lat minęło
jak z kapiszona strzelił.
Jesteśmy wciąż przy „Głosie".
Z wyjątkiem niedzieli.

JERZY WILMAŃSKI

Na wczasy po słońce

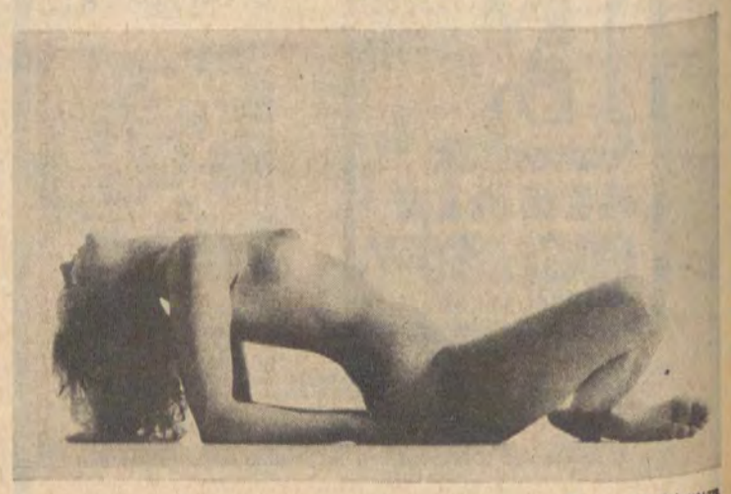

Fot. Archiwum

Luang Prabang

GŁOŚNE ROZMOWY

W Luang Prabang odbyły się ostatnio głośne rozmowy na tematy zasadnicze. Przedmiotem szczegółowych rozważań było miejsce planowanego spotkania sekretarza generalnego ONZ z sekretarzami: **Barbare Wzesin-Sko, Helene Rapaue, Hedwig Novaq oraz Marc Filla-Nouvitschem.** Grupie sekretarzy przewodzi sekretarz generalny polskiej firmy „G and R" — Stephen Quotlarec.

Osaka

DONOŚNY GŁOS

Z Osaki donoszą, że sejsmografy miejscowego obserwatorium zanotowały niezwykle wyraźne drgania. Jak się przypuszcza, powodem owego zjawiska był bardzo donośny głos, dochodzący z niewielkiego miasta w centrum Polski. Nie wyklucza się, że jest to głos robotniczy, co wywołało zrozumiałe zainteresowanie japońskiej klasy robotniczej.

Cordoba

ROZGŁOS

Prasa brazylijska podaje, że w miejscowej księgarni z prasą zagraniczną miał miejsce niezrozumiały wypadek. Otóż do lokalu wszedł mieszkaniec Cordoby nazwiskiem Jouzek Covalsky i powiedział „roz — głos". Jak twierdzą komentatorzy Brazylijczyk w ten dziwny sposób chciał zdobyć rozgłos. Korespondent PAP w Cordobie dementuje owe enuncjacje twierdząc, że Covalsky po prostu chciał kupić egzemplarz pewnej poczytnej gazety.

UCZYĆ SIĘ OD LUDZI

(INFORMACJA WŁASNA)

Nasz **„Głos Robotniczy"** dociera coraz szerzej, zdobywając sobie wciąż nowe kręgi czytelników. Ostatnio wśród wiosek i hal i tych potoków srebrzystych Podhala usłyszeliśmy tęskną acz skoczną pieśń zawodzoną przez pewnego górala:

Miołem głos
pełny trzos
wszyćko szło mi równo
Posłem hań
z dziewką w grań
Ostało się parę grosy.
W gazecie stojało
z babą trzeba śmiało
A tu mos
taki los
Az mi we łbie hucy.
Co bym nalazł redachtora
to bym go naucył.

W tej prostej pieśni zawarta jest cała mądrość ludowa. Trzeba się uczyć od ludzi.

Dalszy ciąg korespondencji nastąpi po zdjęciu gipsu.

Fot. Archiwum

Prognoza pogody

Tendencje do pogody słonecznej ze skłonnością do przejściowych burz — zwłaszcza pod koniec miesiąca. Okresowo wystąpią chmury na czole Naczelnego.

W Klubie Dziennikarza wyładowania z piorunami.

Wiatry zmienne z bardzo różnych kierunków.

Warunki biometeorologiczne bardzo dobre. Dla osobników o osłabionym systemie nerwowym zaleca się jednak zażywanie specyfików o nazwie „Soberano", „Full" oraz wyciągu z żyta.

Dyżurny synoptyk zapewnia nam utrzymanie do 31 grudnia 1975 r. Potem może nastąpić ochłodzenie.

Izo-bary i izo-bufety na tym samym poziomie co zawsze. Należy jednak liczyć się z możliwością lokalowych drgań intelektualnej atmosfery.

Ogólnie biorąc prognoza bez większych zakłóceń.

Z MIASTA

W Klubie przyzakładowym „Wrzeciono" red. G. Szczyński wygłosi dziś o godz. 15 odczyt na temat: „Jak żebrałem przed redakcją". **Wstęp wolny.**

☆

Zarząd Okręgowy ZCPDW zaprasza dziś o godz. 16 na spotkanie z red. G. Szczyńskim. Temat prelekcji: „Przebrałem się za żebraka". **Wstęp wolny.**

☆

Dziś o godz. 17 w Bibliotece Rejonowej przy ul. Goszczyńskiego 5 odbędzie się odczyt red. G. Szczyńskiego n.t. „W przebraniu żebraka na ulicach Łodzi". **Wstęp wolny.**

GŁOS ZIEMI ŁÓDZKIEJ

W kilku gminach łódzkiej aglomeracji odbył się w ubiegłym tygodniu cykl spotkań z red. G. Szczyńskim. Nasz kolega redakcyjny opowiadał ucieszne przygody dziennikarskie m.in. jak przebrał się za żebraka i potem napisał o tym artykuł. Rzecz miała miejsce przed paroma laty i od tego czasu red. G. Szczyński zdążył już napisać około trzech artykułów na zupełnie inne tematy.

☆

„Parch grozi jabłonkom" — oto tytuł programu estradowego, z jakim objeżdża gminy aglomeracji i sąsiednich województw zespół artystyczny „Duży Władzio". Szczególnie udany jest song finałowy w wykonaniu artystów W. Joldana i P. Lichowskiego. Wokaliści śpiewają:

„Jasne słonko
nad jabłonką
świeci
opylajcie drzewka
dzieci".

Bez dogmatu

SKUWKA

Skuwka jest to po prostu blaszka umacniająca coś, łącząca coś ze sobą. Na przykład: skuwka ołówka. Tak to określa autorytatywny Słownik Języka Polskiego.

Ale skuwka może być też przedmiotem długotrwałych korespondencji między bardzo poważnymi instytucjami. Może być też przedmiotem sporu między szarym obywatelem a wszechwładnym urzędem.

Odkuwka podobnie. Niby drobiazg — jakiś przedmiot odkuty z metalu na gorąco. A ileż sprawia kłopotu producentom różnych potrzebnych urządzeń — ileż listów, monitów, telegramów, telefonogramów, wędruje do kooperantów w sprawie odkuwek żeliwnych.

Odkuwek jednak nie kupujemy w sklepach. Przeciwnie jak skuwki. I o takiej właśnie skuwce muszę napisać.

Otóż ob. Józef Belka (Łódź, Gliniana 5) zakupił w sklepie ŁZPRCWT-8 normalną, standardową skuwkę do ołówka za 1 złoty 18 groszy. Suma niewielka, a ileż kłopotów.

Józef Belka nie miał szczęścia i trafiła mu się skuwka nieco wygięta. Nie wykluczone, że był to błąd konstrukcyjny. Wydawać by się mogło, że najprostszą rzeczą będzie skuwkę wymienić na dobrą. Ale od czegóż biurokracja!

Nasz Czytelnik musiał złożyć kwestionariusz reklamujący, uiścić opłatę skarbową w wysokości 15 zł, wyczekiwać w poczekalniach różnych kierowników i naczelników... Stracił na te zabiegi pełny tydzień zanim otrzymał zamiast nowej skuwki... odpowiedź. Rzeczoznawca reklamacji nie uwzględnił.

A czy nie prościej było wysłać zaopatrzeniowca do Drwi-Śląskiej, gdzie skuwki produkują — przywieźć egzemplarz dobry i wręczyć Józefowi Belce z przeprosinami?

Tak to jest, że widzimy źdźbło w oku bliźniego, a nie widzimy Belki przed własnym biurkiem.

LUCJAN BOGUSZ

Małe wydanie „GR" nr 4274

WIELKIE WYDARZENIE

Redakcję „Małego Głosu" odwiedziła ostatnio niewielka delegacja krasnoludków. W ich imieniu wystąpił p. Jan Gałek, protestując przeciwko zrzucaniu odpowiedzialności za wszystkie niedociągnięcia na krasnoludki.

„Jeśli coś źle zrobiono, jeśli gdzieś obserwuje się jakieś niedociągnięcia — powiedział p. Gałek — zawsze prasa pisze: „a kto winien? Krasnoludki".

KĄCIK POCHWAŁ

ZNALAZŁ POMYSŁ

Pan Alojzy Pochwał (Grzędzińska 185) znalazł na ulicy Piotrkowskiej zupełnie nowy pomysł. Przekazał go naszej redakcji, aby oddać właścicielowi. Uczciwemu znalazcy serdecznie dziękujemy. Pomysł składa się z metalowego kociołka, rurki szklanej, tzw. ślimacznicy, pełniącej funkcje chłodzące oraz naczynia na produkt finalny. Pan Pochwał twierdzi, że dzięki temu pomysłowi można zarobić około 5 tysięcy miesięcznie albo 6 miesięcy aresztu.

KOMUNIKAT

Dla wygody Czytelników „Mały Głos" ukazywać się będzie od dziś w zmniejszonej objętości i raz w tygodniu. Mamy nadzieję, że nasi Czytelnicy przyjmą tę innowację z radością.

KTO POMOŻE RENCIŚCIE?

Zwrócił się do nas z prośbą rencista, p. Kazimierz Cwany. (Bystra 5). Otóż może ktoś z Czytelników mógłby ofiarować samotnemu renciście mało używany samochód „Alfa Romeo", model 1974. Ostatecznie 1973. Z góry dziękujemy w imieniu pana Cwanego.

CZAS TO PIENIĄDZ...

★ PUNKTUALNOŚĆ NAJWIĘKSZĄ ZALETĄ! ★

ZNAKOMITE BUDZIKI, MINUTNIKI

produkcji „MERA — POLTIK" w Łodzi

można nabyć w „UNIWERSALU"

Najnowsze rozwiązania techniczne, estetyczne obudowy — gwarancją udanego zakupu.

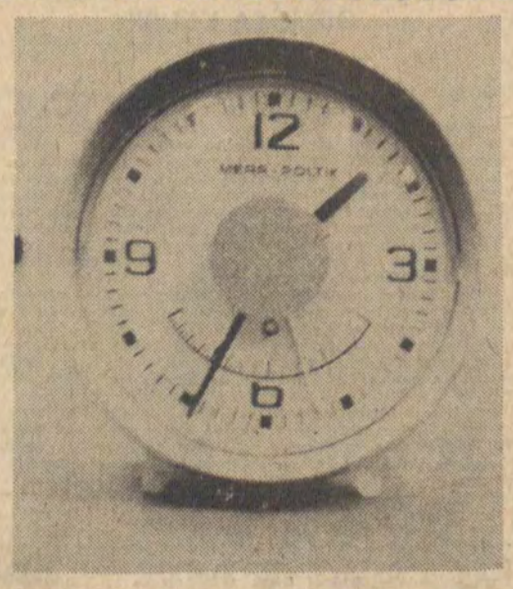

2287/k

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 1201. U-12. Nr indeksu 37006/36762.